

71 1990.045
Czas
3

MARIA CZAPSKA

CZAS ODMIENIONY

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1978

MARIA CZAPSKA

CZAS ODMIENIONY

CZAS ODMIENIONY

ORS MOT

INSTITUT DE LITERACE

PARIS

LEAS JOURNAL DE LITTÉRATURE
1911-1912

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 290

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

MARIA CZAPSKA

CZAS ODMIENIONY

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1978

MARIA CZASKA

CZAS ODMIENIONY

WYDZIAŁ KULTURY



11 1.990.045
chr.

INSTITUT LITERSKI

INSTITUT LITERSKI

Część pierwsza

JESZCZE WOJNA

Wysiedleńcy

Wspomnienia wydane pt. „Europa w rodzinie” (1970) zakończyłam pobeżnym obrazem wydarzeń Pierwszej Wojny, aż do opuszczenia kraju rodzinnego, odstąpionego wraz z Mińskiem Związkowi Sowieckiemu traktatem Ryskim (1921 r.).

Ale wypadki tej pierwszej wojny światowej, rewolucji rosyjskiej (1917 r.) i odzyskania niepodległości Polski — to wszystko co odmieniło postać świata, zaważyło też decydująco na naszych losach i dało nam trudną, ale upragnioną niezależność.

Minęło z górą pół wieku od tamtych walk i przewrotów, ale pamięć zachowała tak żywo szereg epizodów, scen i postaci z tej epoki, że pragnę jednak je opisać tak, jak je przeżywałam wpleciona we własne i najbliższych dzieje, mimo że te zdarzenia weszły już na karty historii.

1 sierpnia 1914 roku Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji. Umajone pociągi towarowe pełne rozśpiewanych poborowych śpieszyły na Zachód. Głuche wieści dochodziły nas z dalekich frontów wojennych, ale w szpitalu jenieckim w Mińsku zobaczyłam po raz pierwszy, jak umierali ranni, jak spływali krwią amputowani, jak bardzo chcieli żyć. Ludzie ginęli tysiącami tysięcy jedni

w imię cara, drudzy w imię cesarza a Francuzi jako rewanż za rok 1870. 14 sierpnia ukazał się we wszystkich polskich i rosyjskich pismach manifest W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza obiecujący Polsce niepodległość, manifest nie był podpisany przez cara i żadnym jego słowem nie potwierdzony, ale nas młodych rozentuzjzmował i zyczyliśmy z całego serca zwycięstwa Rosji.

Po załamaniu się ofensywy północnej w Prusach i południowej Galicji — nastąpił odwrót.

Zła administracja, niedostatek amunicji i aprowizacji zdawał się już w pierwszych miesiącach wojny przesądzać o jej wyniku.

Moi bracia kończyli ostatnie klasy gimnazjalne w Petersburgu. Aby odwlec pobór Józia do wojska ojciec zapisał go na wydział prawny Petersburskiego Uniwersytetu.

My, w domu, uczyliśmy się rosyjskiego. Już przed wojną weszliśmy w świat Żeromskiego. Konrad Czarnecki, malarz i przyjaciel kuzynów Platerów ze Swojatyecz, otworzył nam oczy na niego i dał poznać poezję Staffa. Żeromski przemówił do nas od razu swoimi nowelami, natężeniem bólu, właściwym mu współczuciem każdemu cierpieniu (*Cokolwiek się zdarzy...*, *Rozdziobią nas kruki, wrony. Siłaczka* i in.). Pozostał dla nas doktorem Judymem z *Ludzi Bezdomych*, tym który dźwignął samotnie ciężar ludzkiego losu, pogłębił świadomość narodową i odpowiedzialność społeczną. Z literatury rosyjskiej poznaliśmy naprzód Tołstoja, następnie Puszkina i Lermontowa (*Gieroj naszewo wremieni*, poemat *Demon*). Nauczyłam się długiego monologu z Demona: „Klianusz ja pierwszym dniom tworeniija...” i umyśliłam przedstawienie, w którym siostra Rózia miała grać rolę dziewicy w białych zawojach a ja, w czarnych trykotach, demonicznie ugrymowana — jej kusiciela.

Chciałam pokazać publiczności (pięcioosobowej) moje wzruszenia miłosnymi zakłęciami Demona. Ale p. Iwanowski, wychowawca braci, jeden z widzów, rzucał swoje

krytyczne uwagi i żarty zbijając mnie z tropu. Wszystko skończyło się na kpinach i mojej konfuzji.

W domu naszym zmieniały się kwatery, naprzód stanęła kawaleryjska dywizja pod dowództwem ks. Trubeckiego, który zajął nasz najlepszy pokój gościnny, pokój Babci, i rozmawiał z nami po francusku. Ten wyborowy pułk zastąpiła dywizja syberyjska na długo.

Już w pierwszym roku wojny szeptano, że straty Rosjan w zabitych, rannych i jeńcach przekroczyły milion. Armia załamującego się frontu zabezpieczała swoje odstępowanie niszczeniem kraju, odgradzając się spaloną ziemią.

5 sierpnia 1915 padła Warszawa, 15 września car objął osobiście naczelne dowództwo, przerzucając W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza na nieznaczący front kaukaski. Cesarzowa widziała w W. Księżu rywala przypisując mu zamiar detronizacji Mikołaja II-go. Car samowładca nie miał żadnych kwalifikacji, ani na wodza naczelnego, ani na męża stanu.

Wszystkie nici władzy w stolicy znalazły się w rękach carowej, a raczej w rękach jej doradcy Rasputina. Ciemny chłop syberyjski obdarzony niezwykle darem intuicji, niesamowitą siłą fizyczną, hipnotyzer i znachor — umiał bowiem przynosić ulgę cesarzewiczowi, wciąż zagrożonemu dziedziczną w rodzinie książąt Heskich hemofilią, czyli niekrzepnięciem krwi — mianował ministrów i dawał im zlecenia. Słabość i brak decyzji męża usiłowała zastąpić dumna księżniczka heska własnym hartem, wspierana, jak sądziła, natchnieniem „Bożego człowieka”. W listach przypominała mężowi, że jest autokratą i że nikt o tym nie powinien zapomnieć. „Zawiodłam się na narodzie rosyjskim” — pisała — „żadne swobody mu się nie należą. Żadnej warstwie, żadnej klasie, żadnemu ugrupowaniu, żadnemu narodowi w Rosji nie można dać ani cienia samodzielności” — powtarzała. — „Chamstwo”, „zgniła Duma”, „ohydni ludzie” — te określenia wciąż wracają w korespondencji z mężem.

Wiara w potęgę Rosji była już zachwiana w narodzie, a też wiara w celowość ogromu ofiar.

Ratując odstępującą armię poświęcono Polskę. Cały kraj zagrożony stanął w ogniu. Kozacy palili wsie i miasta, wyganiając ludność w początkach jesieni na drogi i gościńce wiodące na Wschód. Tragiczny exodus już poprzednio przeze mnie opisany.

Przy naszym starym Krzyżu na rozdrożu mnożyły się mogiłki opatrzone krzyżykami skleconymi z dwóch patyków, bezimienne, prędko zapomniane, zapadłe. Umierały, zwłaszcza dzieci nieletnie, z głodu i chłodu. Rąbano drzewa parkowe na ogniska. O zmierzchu łąka i pole przy gościńcu lśniły ogniskami, dym gryzący snuł się po ziemi. O świcie wszystkie wozy ruszały dalej i nie było widać końca tego pochodu; nocne przymrozki dopełniały klęski.

Wtedy musieli też opuścić swoje piękne Swojatycze Henisiowie Plater Zyberkowie, zabierając tylko to, co się dało zgarnąć, tracąc po drodze skrzynie uprzednio załadowane z cenną biblioteką po prababce Zofii z Obuchowiczów Czapskiej.

Tejże jesieni zjechała do Mińska wysiedlona z Piotrkowszczyzny rodzina Jakubowskich: pani Jakubowska z córkami Miką i Romą, naszymi koleżankami z Chyliczek, i Milą Koziół-Poklewską z trojgiem dzieci. O mieszkania po wysiedlonych urzędnikach było wtedy nietrudno, mogliśmy ich zaopatrzyć w statki kuchenne i stołowe, bieliznę, oraz najprostsze meble. W ogrodzie naszym mieliśmy domek dziecinny we wszystko zaopatrzone, gdzie od czasu do czasu urządzaliśmy przyjęcia. Wypróżniliśmy wtedy ten domek, a z rodziną Jakubowskich połączyła nas odtąd dożgonna przyjaźń. Mika Jakubowska Kotarbińska, najbliższa przyjaciółka naszej siostry Karli, po stracie męża w 1940 roku, syna lotnika i córki rozstrzelanej przez Niemców, schroniła się do Lasek pod opiekę Karli, z kolei wysiedlonej po aresztowaniu męża

i przygarniętej przez Antoniego Marylskiego, z całą rodziną. Mika w Laskach umarła po ciężkiej chorobie.

Ełę Rostworowską, Wojciechową, najmłodszą kuzynkę Plater Zyberk z Lixny, udało się nam pomieścić w letniskowych, podmiejskich domkach w Piotrowszczyźnie, gdzie się jako tako mogła zadomowić z czworgiem dzieci. Wszystkie dzieci Wojciów były śliczne, szarookie i bardzo inteligentne. Szeszek (Wojciech), najstarszy, wstąpił do Benedyktynów, był naprzód przeorem w Tyńcu, potem przeorem Komedułów na Bielanach k. Krakowa. Mika jest matką liczego rodu, a Henryk, poeta, został pieśniarzem Polski Ludowej. Ela straciła w Piotrowszczyźnie najmłodszą córkę Nikę (Weronikę) i strasznie po niej rozpacziała, ale już przed zimą, dzięki staraniom męża członka stworzonej przez Niemców Rady Stanu, mogła przez Finlandię i Szwecję połączyć się z nim w Warszawie. Trudniej było ratować Kazię Iłakowicz, poetkę, spowinowaconą z nami przez Platerów, starszą siostrę miłosierdzia czołówki Czerwonego Krzyża. W końcu tegoż lata 1915 roku wylądowała w mińskim szpitalu wojskowym z tyfusem i dyzenterią. Udało nam się zdobyć dla niej prywatną pielęgniarkę, bo opieka nad nią, jedyną na tej sali kobietą, w przeładowanym, cholerycznym baraku, gdzie ją pomieszczono, była omal żadna. Już w drodze do ozdrowienia, ale bardzo jeszcze słaba, w przeddzień ewakuacji całego szpitala do Kazania, dało się wyciągnąć ją stamtąd i umieścić pod opieką Eli Rostworowskiej, w tejsze Piotrowszczyźnie.

Była ostrzyżona na zero, bardzo wymizerowana, wyglądała na młodego żołnierzyka i jednego tylko pragnęła: spotkania z ciotką, Weroniką Plater Zyberk, matką Eli, wielkiej wiary i wielkiej miłości Boga i bliźniego kobietą. Chciała jej wyznać łaskę, której doznała w czasie tej choroby:

„Nawiedził mnie wtedy (jak sama pisze) dziwny stan, wróciła niewątpliwa, absolutna, prosta, tak jak w dzieciństwie, wiara w Boga. Źle mówię — 'wiara'.

ja *wiedziałam* z całą pewnością, nic mnie nie trapiło, nic też sobie nie wmawiałam¹...”

Te wszystkie nasze akcje były możliwe jedynie dzięki zapleczu naszego zasobnego domu, dzięki koniom do dyspozycji, oddanej służbie, zapasom bielizny, aprowizacji i życzliwej zgodzie naszego Ojca.

Romain Rolland

Jeszcze przed wojną dzieła pisarza szwajcarskiego zyskały dużą poczytność w całej Europie. Poznaliśmy naprzód jego zwięzłe, z polotem pisane biografie wielkich ludzi (Tołstoj, Michał Anioł), a dopiero później dotarła do nas jego 10-ciotomowa powieść pt. „Jean Christophe”. Były to dzieje młodzieńca, artysty-muzyka i jego walki z losem. Zachwyceni dziełem pokochaliśmy autora i tuż przed pierwszą, wiosenną rewolucją, bo 13 lutego 1917 roku napisaliśmy do pisarza z wyrazami naszej wdzięczności. Mimo frontów wojennych, które nas dzieliły, listy nasze (posłaliśmy bowiem dla pewności nasz list w dwóch egzemplarzach) dotarły do adresata i ku wielkiej naszej radości dostaliśmy od niego odpowiedź.

Ten literacki epizod naszej młodości poszedłby w zapomnienie, gdyby nie *Dziennik Romain Rolland* wydany w 1973², gdzie w 4-tym tomie pod datą 28 marca 1919 roku czytamy: „*Deux petits Czapski, un frère et une sœur m'écrivent une lettre débordante d'affection à propos de Jean Christophe...*”. Pisarz zaznacza, że oba listy były scenzurowane, ale każdy inaczej, co pozwoliło mu odtworzyć treść jego w całości i zacytować zeń jedno zdanie: „Nieraz człowiek — pisaliśmy — zdaje się ulegać atmosferze materializmu, nienawistnej i miernej, traci

1. K. Iłakowiczówna, *Trazymeński zajac* (Cholera w Mińsku), Wyd. Literackie, Kraków, 1968.

2. *Journal des années de guerre 1914-1919*. Paris, Albin Michel.

wiarę w zwycięstwo dobra, liczba walczących zdaje się tak szczupła wobec zalewającej ich fali, czuje się sam i słaby”.

Romain Rolland konkluduje: „*Défense d'être pessimiste. Ordre d'état d'arborer la joie civique et philosophique*³...”

Nieco później Józio przywiózł z Piotrogradu surowo zakazaną w krajach wojujących broszurę pt. *Au dessus de la mêlée* w duchu pacyfizmu i braterstwa wszystkich narodów. Odtąd autor „Jean Christophe” stał się nam jeszcze bliższy.

Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny

Z początkiem zimy 1915/16 przeniosłyśmy się do Mińska i obie, Karla i ja, stanęłyśmy do pracy w Towarzystwie Pomocy Ofiarom Wojny.

Ojciec nasz wynajął od bogatego kupca Załkinda obszerny dom przy ul. Zacharzewskiej, przezwany przez przyjaciół żartobliwie palais Załkind. Był ozdobiony i umeblowany z luksusowym bez-gustem. Marmurowe schody zdobiły freski amorków wśród girland, w salonie dwa płótna w ciężkich ramach przedstawiały wzburzone morze à la Ajwazowski, liczne i ciężkie meble, obszerne sypialnie, pokoje dla służby — starczyło dla wszystkich.

Babcia mieszkała z nami, mieliśmy naszego kucharza, służącego Olesia Pańko i pokojówkę. Babcia swoją pannę służącą.

Pracy w Tow. P. O. W. było dużo, prowadziłyśmy rejestrację i kartotekę. W dużej sali Tow. Rolniczego co dnia zbierał się tłum potrzebujących, przeważnie uchodźców, należało każdego wysłuchać, spisać personalia, skład rodziny, najpilniejsze potrzeby, a następnie sprawdzić osobiście te dane. Mieliśmy dwa razy na ty-

3. „Nie wolno być pesymistą, władze państwowe nakazują wyznawać jawnie radość obywatelską i filozoficzną.

dzień przydzielone na ten cel jednokonne sanki oraz chłopa-furmana i jakoś znajduwałyśmy drogę wśród śnieżnych zasp i opłotków mińskich przedmieść, wśród zawsze „beziemiennych piereułków”, gdzie się gnieździli tzw. „bieżeńcy” koczując w pustych domkach po ewakuowanych do Rosji kolejarzach, na podłodze zasłanej słomą, szmatami i kozuchami, wśród osmolonych garnków. Owocowe drzewa podmiejskich sadów szły na opał.

Na posiedzeniach zarządu, którego prezesem był p. Kryński, i do którego byłyśmy też dopuszczone, pamiętam p. Chrzanowskiego, Józefów Iwaszkiewiczów, p. Falkowskiego i skrajnego w naszym gronie lewicowca p. Stefana Heltmana, o jasnych oczach i stalowo zimnym spojrzeniu. O tym cenionym, aktywnym współpracowniku Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny mówiono wtedy już, że był komunistą. Gdy jednak po upadku caratu odbył się w Mińsku pierwszy dozwolony przez władze obchód rocznicy 3-ciomajowej, Heltman szedł w pierwszym szeregu pochodu i jak nam doniesiono, porwany powszechnym entuzjazmem, płakał.

K r y m

W początkach 1916 roku długotrwałe grypy i gorączki skłoniły naszego ojca do wysłania mnie i Rózi na Krym do Jałty, pod opieką p. Gabrieli Wańkowiczowej. Poznałyśmy Morze Czarne i deptak nadmorski, niewiele więcej, bo ogrody pięknych willi i pałaców za wysokimi murami schodziły do morza, dla nas niedostępnego. Zostawały nam konne wycieczki, całe kawalkady młodzieży ruszały w góry, ale my nie miałyśmy na to funduszków.

Na Wielkanoc dojechali do nas obaj bracia wprost z Piotrogradu. Od północy Jałtę osłania wał górski, falistą linią zamykający horyzont.

Nie opowiadając nic nikomu, ruszyliśmy pewnego dnia, wczesną porą we czwórkę, z zamiarem dotarcia do

szczytu i zapoznania się z północnym stokiem tej wyżyny. Szliśmy uparcie cały dzień, głodni i zmordowani, aż do płatów śnieżnych, na które rzuciliśmy się, bardzo spragnieni. Wreszcie szczyt, ale zamiast doliny, której się spodziewaliśmy, zamiast tatarskich aułów, ujrzelśmy jedynie rozległy płaskowyż, pokryty zeschniętą darnią. Zmierzchało. Na obolałych nogach trzeba było zsuwać się spiesznie po kamienistych ścieżkach, wydeptanych przez muły, aż do pierwszej jadłodajni, gdzie dotarliśmy już nocą i zamówiliśmy cztery porcje szaszłyka, okrutnie głodni i znużeni. Odwiedziliśmy wtedy, sąsiadującą z Jałtą, piękną Ałupkę z jej nadmorskim pałacem, posiadłość książąt Woroncowych, ofiarowaną w późniejszych latach przez Stalina — Gorkiemu.

Po Wielkanocy opuściliśmy Jałtę w rozkwicie wiosny. Bracia wrócili wprost do mroźnego Piotrogradu, my obie przez Moskwę do Mińska.

Front zachodni i ofensywa Brusilowa

Przewidywano dalszą ofensywę niemiecką, ale na razie front wschodni zdawał się ustalać na linii Wilno-Kowel-Tarnopol, na najbliższym nam odcinku stanął na linii Baranowicze-Kowel i nie ruszył do zimy 1918. Dowództwo francuskie nakazywało atakować kosztem zdziesiątkowania lub zagłady całych pułków. Bitwa o Verdun, pamiętna grozą wojny pozycyjnej w za płytkich rowach, pod huraganowym ogniem nieprzyjaciela, zagrożeni falami gazów żołnierze tej ogromnej bitwy ginęli masowo. Niemcom było śpieszno złamać opór moralny i fizyczny nieprzyjaciela, zakończyć wojnę tą jedną bitwą, a jednak pierwsi musieli odstąpić. Francja odniosła zwycięstwo pod Verdunem kosztem około 350 tysięcy poległych. W ciągu naszych późniejszych wędrówek po Francji spotykaliśmy wszędzie, w najmniejszej wiosce, podobnie jak w miastach dużych i małych, pamięć o po-

ległych, pomniki lub płyty z kilku, kilkudziesięcioma, kilkuset nazwiskami — żniwo tej pierwszej wojny światowej.

W maju generał Brusilow rozpoczął ofensywę na południu. Armia była tym razem lepiej zaopatrzona w amunicję i zaaprowidowana i odniosła potem zwycięstwo, przełamując front austriacki i wkraczając ponownie do Galicji, ale dalsze odcinki frontu nie wsparły odosobnionej akcji Brusilowa. Nie tylko żołnierz, ale cały kraj, po dwóch latach wojny, był zmęczony i zniechęcony, wobec władzy nieufny, wyglądano zmian u szczytu i zawarcia pokoju, wobec czego nawet zwycięstwa stały się niepożądane.

Zgon Babci

Babcia nasza umarła wiosną po naszym powrocie z Krymu. Dożywszy 83 lat, bez żadnego kalectwa, słałości, zapadła na zapalenie płuc, z wysoką temperaturą. Ojciec się zaniepokoił, bo Babcia nigdy, za mojej pamięci, nie chorowała i sprowadził Ninę Plater Zyberk, wtedy siostrę miłosierdzia w polskiej czołówce Czerwonego Krzyża, zorganizowanej przez ks. Franciszkę Woroniecką. Starszą siostrą tej frontowej czołówki była wspomniana już Kazia Iłakowiczówna, poetka, a dowódcą wojskowym Walerian Meysztowicz, późniejszy ksiądz i prałat papieski. Nina była jedną z ukochanych wnuczek Babci. Wszelkie zabiegi lekarskie były chorej nieznosne, lekarstw przyjmować nie chciała, skarżyła się żałością na te udreki, a serce słabło. Może było jej śpieszno opuścić ten krwawy a dla niej opustoszały świat.

Jej krótka choroba i cichy zgon nie zostawiły głębszego śladu w mojej pamięci, ani żalu po jej zniknięciu — nas porывała przyszłość, Babci udziałem były wspomnienia. Odumarli ją współcześni, jak również obie młodsze siostry Alexandrine (Bichon) Cziczerin i Zofia

(Sonine) Nicolay. Front wojenny odciął ją od przyjaciół krakowskich związanych jeszcze z pamięcią męża i sprawami muzealnymi. Niejedno w nas musiało ją razić, może niepokoić, ale nie występowała nigdy z żadną krytyką, żadnymi nawet upomnieniami, nigdy jej się też nie zwierzałyśmy, otoczona opieką i szacunkiem była wyłączona z naszego życia, dążeń i pragnień.

Wojna, ofiary życia i mienia milionów, bolały ją na pewno bardziej i głębiej, aniżeli nas młodych. Cały świat, jej świat XIX-towieczny ginął w tej pożodze. Czy miała z kim podzielić się tym bólem? Co wtedy czytała? Z kim korespondowała? Zabrakło czarnego notatnika, na którym mogłam oprzeć się pisząc o poprzednim okresie jej życia. Mimo wielkiego uznania i podziwu dla naszej matki, żarliwej katoliczki, nie zamierzała nigdy zmienić wyznania. Nabożeństwo żałobne zostało odprawione w zborze ewangelickim, a zwłoki przewieziono końmi do cmentarnej kaplicy w Stańkowie, gdzie spoczęły obok teścia, Karola, córki Elżbiety zmarłej w dzieciństwie i syna, Karola, prezydenta miasta Mińsk. Konduktowi towarzyszył tylko nasz ojciec. Lotnicy, kwaterujący wtedy w Stańkowie, dowieźli nas samochodem do cmentarnej kaplicy Stańkowskiej. Tak, że mogliśmy jeszcze przez okienko w trumnie spojrzeć na zastygłą, pogodną twarz zmarłej. Miejsce obok męża, na cmentarzu rakowieckim w Krakowie, zostało puste.

I tak odeszła nasza Babcia, która spędziła młode lata w Petersburgu za Mikołaja I i tańczyła na dworskich balach z jego synami (*ils étaient charmants les grands ducs...* wspominała), odeszła nie dożywszy, szczęśliwie, rewolucji oraz poniżenia i okrutnego mordy rodziny carskiej, klęski Rosji jej młodości, ruiny naszych domów, zniszczenia pamiątek, pozostawiając wspomnienie swej postaci, w czerni, na tle parku stańkowskiego, a jako dzieło życia czterotomowy katalog zbiorów numizmatycznych męża Emeryka Czapskiego, jej ręką ilustrowany.

Lilcia

W ciągu ostatnich miesięcy życia Babci towarzyszyła jej Lilcia, najstarsza z kuzynek Plater Zyberk z Borka, trochę ułomna, o rączkach wąskich jak żabie łapki i wydłużonej czaszce, drobnych rysach i bardzo łagodnych, ciemnych oczach. Z braku urody została przez matkę-histeryczkę, siostrę naszego ojca, przeznaczona do klasztoru. Przebyła w nim 13 lat, bez powołania, bardzo nieszczęśliwa i stęskniona za krajem i siostrami.

„Kiedy widzę obłoki płynące na Wschód — pisała do sióstr — myślę, że przelecą może nad Polską, nad Borkiem, nad Wami...”

Dopiero po śmierci matki w 1911 roku zdobyła się na krok dla niej heroiczny i, nie uprzedzając ojca, zwróciła się do biskupa Roppa, krewnego Platerów, z prośbą, aby uzyskał dla niej od Ojca Świętego zwolnienie z wieczystych ślubów, które już była złożyła.

Biskup Ropp, znając jej dzieje, uzyskał upragniony przez Lilcię indult i dopiero wtedy zawiadomiła o tym ojca i siostry. Zgorszone zakonnice musiały ustąpić. Działo się to w Kopenhadze, gdzie znajdowało się wówczas zakonne zgromadzenie Lilci i dokąd dojechały siostry z Polski i ojciec z Paryża.

„O ile dziecko, w ciężkiej potrzebie, nie zwraca się o pomoc do rodziców — winni są rodzice”. To stwierdzenie Wujka było spóźnione o długie lata, przez całe życie ulegał histerycznej zazdrości żony, nie biorąc nigdy w obronę niekochanych, krzywdzonych córek. Na dworcu w stacyjnej ubikacji, aby sprawę odstępstwa zataić w klasztorze, przebrano Lilcię po cywilnemu i oddano rodzinie.

Drobna postać Lilci w brązowym, męskiego kroju kostiumie łączy mi się nierozdzielnie z tą trzecią zimą wojenną w naszym palais Załkind i zgonem Babci. Była rozsądna, pogodna i miała doskonały zmysł humoru, toteż używaliśmy na niej drażniąc ją i żartując, zwłaszcza

Staś był niewyczerpany w pomysłach, za co go wyróżniała swoją czułą sympatią. Chcąc wszystkim dogodzić podawała Ojcu naszemu, oraz innym panom, płaszcz, kapelusze, przysuwała krzesła; Ojca, mimo że ją serdecznie lubił, drażniły te nieskończone usługi, sykał więc na nią, a Lilcia nie rozumiała dlaczego nie chce od niej przyjąć tych drobnych przysług?

Po śmierci Babci Lilcia pojechała do Finlandii, do ciotek Nicolay w Monrepos pod Wiborgiem, jako że Finlandia była wówczas najbezpieczniejszą przystanią, gdzie ściągali zamożni obywatele dzielnic zagrożonych niemiecką okupacją. Spodziewała się może usłużyć ciotkom, ale nie zaprawiona do żadnych trudów, bardzo delikatnego zdrowia, zapadła na dyzenterię i cichutko tam zmarła.

Mord Rasputina

Wojna trwała. Wieści o intrygach dworskich i niesamowitych wpływach syberyjskiego „starca” na parę cesarską, dopełniane skandalicznymi plotkami, docierały do szeregów frontowych.

30 grudnia 1916 roku Rasputin został zamordowany. Zabójstwa nie popełnili rewolucjoniści, ani Polacy, ani Żydzi, którym zwykle przypisywano tego rodzaju zamachy. Spisek uknuto w sferach najbliższych dworowi, a mordu dokonał ks. Jusupow, przez żonę skoligacony z rodziną cesarską.

Cesarzowa, straciwszy przyjaciela i, jak sądziła, przez Boga natchnionego doradcę, uznała że jest otoczona zdrajcami. Ostatni stronnicy cara, wierni tronowi, byli odtąd z woli carowej odsunięci od wpływów i pozbawieni urzędów.

Mikołaj nie przyjmował żadnych rad, ani ostrzeżeń, nie godził się na ustępstwa, nie obiecywał ulg i amnestii. „Nie moją sprawą — oświadczył wyniośle jednemu

ze swych ministrów — jest odzyskać zaufanie narodu, ale jego sprawą zasłużyć na moje”.

Obchód Sienkiewiczowski i nauki Rózi

Jesienią 1916 roku umarł w Szwajcarii w Vevey, gdzie był osiadł od szeregu lat, Henryk Sienkiewicz. Polski Mińsk zgotował wielkiemu pisarzowi hołd na miarę jego popularności. Na scenie miejskiego teatru zasiadła na wzniesieniu postać w czerni z twarzą osłoniętą, symbolizująca Polskę, rolę tę powierzono naszej siostrze Karli. Po prawej stronie sceny stało na cokole duże popiersie Sienkiewicza, a po lewej barwna gromada bohaterów jego nowel i powieści.

Kurtyna się podniosła i wtedy ruszyli, w uroczystym pochodzie, Skrzetuski z Heleną, Kmicic z Oleńką, Wołodziejowski z Basią, Jurand z Danusią, Winicjusz z Ligią, Janko Muzykant, dzieci Wrzesińskie i inni jeszcze, których nie pamiętam. Skłoniwszy się naprzód przed Polską ożałobioną składali kolejno u stóp popiersia Sienkiewicza kwiaty i znikali stopniowo za kulisami. W końcu powstała Polska, odsłoniła twarz i ujawszy wieniec wawrzynu oparty o jej siedzisko, bardzo uroczyście zstąpiła ze swego wzniesienia i złożyła wieniec u stóp popiersia gestem głębokiego hołdu skłoniona.

Po powrocie z Krymu podjęłam się opieki nad Rózią, jako że obie siostry starsze pracowały nadal w Towarzystwie Pomocy Ofiarom Wojny. Karla w szkolnictwie, Lila w warsztatach tkackich.

Wróciłyśmy wtedy do Przyłuk z ówczesną nauczycielką Rózi, p. Słaboszewską, która ją przygotowywała do wstępnych egzaminów w nowopowstałym wówczas w Mińsku polskim gimnazjum.

Z wielkim wzruszeniem przystępowałyśmy do tego egzaminu. Wszystko poszło dobrze, na czwórki i piątki, ale prof. Dworzaczek dał Rózi z geografii trójkę, nie

umiała odpowiedzieć na pytanie, jaka cieśnina dzieli Indie od Cejlonu. Bracia zdawali zawsze na piątki, a więc ta trójka wydała im się katastrofą wprost hańbiącą. Wróciliśmy do domu we łzach. Ojciec przygotował wystawny obiad, nie chciałyśmy sięść do stołu. Jedna na łóżku, druga na kanapie — leżałyśmy szlochając. Przyniesiono nam obiad do pokoju, piękne płaty gorącej szynki — odeszły nieruszone. Nasz Ojciec zakłopotany nie wiedział co począć?

Żal do prof. Dworzaczka za tę trójkę zachowałyśmy długo, a że był socjalistą, uznałyśmy tę trójkę z geografii za „zemstę klasową”...

W tym okresie, w początkach chyba szesnastego roku, bo Babcia jeszcze żyła, zdarzyła się nam niezwykła przygoda wojenna.

Eskadra lotnicza

*Był może łaskowemu myślnu
Wy wspomnitie te dni...
Kogda kapryznoju sud'boj gonimy
Slietielis k'wam oni...*

Na rozległych równinnych polach, tuż za bramą stańkowskiego parku osiadła eskadra 4-romotorowych, olbrzymich bombowców, zwanych Ilje Muromcy. Ile ich było, trzy, może cztery?

Były obsługiwane przez kilkunastu oficerów i ekipę żołnierzy techników, stolarzy i ślusarzy. Dowódcą eskadry był kapitan Baszko, Łotysz, Aga Faruch Gaibow był chyba Turkiem, Nikolenko, Ławrow, Karpow, Naumow, Sperański — Rosjanami.

Na froncie zachodnim lotnictwo było już na tyle rozwinięte, że stanowiło groźną broń, wspierającą ataki piechoty, bombardującą bazy nieprzyjacielskie i miasta. Czy Rosja miała inne eskadry podobne do stańkowskich Iljów, czy miała lekkie samoloty wywiadowcze, myśliwce

zaopatrzone w kulomioty? Niemcy posiadali ponadto flotę Zeppelinów, olbrzymich balonów, mogących unieść 40 ton materiałów wybuchowych. Zeppeliny bombardowały Londyn i bazy nieprzyjacielskie. Po tej i tamtej stronie lotnicy stanowili elitę korpusu oficerskiego, górując wykształceniem, wyróżnieni swoją groźną, napowietrzną bronią.

Linia frontu przebiegała od jesieni 1915 roku o jakieś sto kilometrów od Stańkowa. Zadaniem eskadry było bombardowanie pozycji niemieckich. Olbrzymie Ilje nie mogły wznosić się ponad kilkaset metrów, o ile pamiętam, nie wyżej trzystu, a dotarwszy do celu i zrzuciwszy swój ładunek wracały do bazy, bo na tyle tylko starczało im paliwa.

Bardzo prędko nawiązały się pomiędzy oficerami eskadry, a kuzynkami stańkowskimi, a następnie też nami przyjacielskie stosunki. Ich takt i dobre wychowanie umożliwiały tę zażyłość, a stałe zagrożenie nadawało ton naszej przyjaźni. Każdy dzień pogodny był dla nich dniem bitwy. Nigdy, jak wówczas, nie pragnęłyśmy niepogody, jako że w dniu pochmurne nie było lotów, a więc i zagrożenia.

W okna naszego górnego saloniku były światła ich potężnych samochodów, kiedy prując zabłoconym traktem spuszczały się w dolinę Ptyczy. Nasi lotnicy! Zajadą? Nie zajadą? Nieraz skręcali z traktu w naszą lipową aleję i zabierali nas do Mińska, a załatwiwszy swoje sprawy — odwozili do domu.

W trakcie jednego z takich wypadów mogliśmy Babci naszej, mówiącej biegle po rosyjsku, przedstawić dowódcę eskadry, kapitana Baszko. Ją, która przerysowała tyle monet i medalów do katalogu kolekcji numizmatycznej Dziadka, zainteresowały odznaki wojskowe kapitana, poprosiła go więc o pozwolenie przerysowania odznaki Akademii Lotniczej z Krzyżem Maltańskim. Oddając mu ją powiedziała: „Wiek żywi, wiek uczyś!” — miała

wówczas 83 lata, a było to bardzo krótko przed jej zgonem.

W miarę przedłużania się pobytu eskadry w Stańkowie, na tle zmiennych losów wojny, zacieśniły się nasze sympatie. Kornet Karpow wyróżniał swoimi względami Rózię, wtedy 15-letnią. Miał właśnie jechać na urlop do matki, ale czekał go jeszcze jeden, ostatni bojowy lot. W blasku zimowego słońca aparat został zestrzelony. Cała załoga zginęła. Wspólnie z pozostałymi przeżyliśmy głęboko tę katastrofę.

Surowo wychowywane do lat dorosłych, pozbawione towarzystwa męskiego, przyjęliśmy tę lotniczą przygodę z taką świeżością, a względy młodych lotników miały dla nas tyle uroku, że pozostały nienaruszone w naszych wspomnieniach.

Eskadra spędziła jeszcze chyba całe lato 1916 roku w Stańkowie, po czym miała być przerzucona na inny front. Przed odlotem zaprosili nas i naszych bliskich z Mińska na duże, pożegnalne przyjęcie w Stańkowie.

Konie przyłuckie stały już przed gankiem. Ale na przeciw pałacu był mały budynek o czterech basztach zwany skarbcem. Dziadek zbudował go dla pomieszczenia swoich zbiorów, z których powstało następnie muzeum Czapskich w Krakowie. W tym opustoszałym ze skarbów skarbcu mieszkał Aleksander Ławrow. Zdobyłam się na krok zuchwały, pobiegłam, żeby się jeszcze ostatni raz z nim pożegnać. Zaskoczony, uściśnił mi tylko mocno rękę, sztywno, bez słowa — wykrztusiłam jakieś życzenie i już leciałam po krętych, żelaznych schodkach, z mocno bijącym sercem. Na bryczce siedziała kuzynka Lili Plater, zniecierpliwiona moim zniknięciem.

Ktoregoś z następnych dni posłyszaliśmy potężny huk czterech motorów, jakby tuż nad domem; wybiegłyśmy na ganek, bombowiec już nabierał wysokości — ale coś spadło wirując na trawnik przed domem: płytka metalowa z dołączonym listem po rosyjsku: „Z góry, 6-ta godz. 6 min., Hr. Czapskim, 13 września 1916 roku.

Przelatując nad gościnnymi Przyłukami ślemy pozdrowienia jego uroczym mieszkankom! Będziemy — jak zawsze — radzi gościć Was u siebie, w bazie, wraz z naszymi miłymi gospodarzami. Zauważcie niemiecki dodatek, jest to górna część wybuchowej niemieckiej bomby. Jednocześnie fotografujemy z góry Wasz majątek. — Baszko, Boyé, Naumow”.

Następnie dostaliśmy zdjęcie Przyłuk z lotu ptaka z wszystkimi zabudowaniami folwarcznymi, z załączoną notatką: „*Majątek Przyłuki, zdjęcie z samolotu 'Ilja Muromic Kijowski', 13 września 1916 roku z wysokości 600-700 m.*”. Podpisy: Naumow, Baszko i dalsze dwa nieczytelne.

Nie było już drugiego przyjęcia w Stańkowie. Nie pamiętam którego dnia nasza eskadra opuściła bazę stańkowską. Odlecieli w nieznaną z całą załogą — cztery olbrzymie Ilje z łoskotem swoich czterech motorów. Jeszcze jeden pożegnalny list, chyba też „z góry”, bo odniesiony nam bez znaczka pocztowego. A potem już nic. Nigdy, żadna wieść od nich do nas nie dotarła. Rewolucja i wojna domowa rozbiła pułki i armie, powstały nowe jednostki bojowe, czerwone i białe, zostały zerwane kontakty. Czy trafili do którejś z białych armii? Czy jako carscy oficerowie zostali od razu zgładzeni, może aresztowani? Zesłani? Próżno czekałyśmy jakiegoś znaku życia. Następnie i nas rozproszyło po świecie — i potoczyły się lata.

*... I w zimnyj wieczor na komin gliadia
Jedwa świetaszczije sia ogni
Byt mozet skazetie drug drugu ticho
... a gdzie oni.*

Tym zapisem w naszej przyłuckiej książce gościnnej pożegnał nas Speranski, jeden z nich, w imieniu wszystkich.

W tym samym czasie co lotnicza eskadra, zjawił się w Stańkowie p. Stefan Ossowiecki, powszechnie znany ze swoich autentycznych darów jasnowidza, odgadywał treść zapieczętowanych listów, miejsce pobytu osób zaginionych, ślad przedmiotów zgubionych, umiał wołą przynosić rzeczy z miejsca na miejsce, a nawet się rozdawać. Był to zażywny jegomość, w średnim wieku, typowy *bon vivant*, zamieszkujący stale Moskwę, co się odbijało silnym rosyjskim akcentem jego polszczyzny. Nie tłumaczył swoich darów żadną siłą nadprzyrodzoną, nie było w nim żadnych skłonności mistycznych. Mówił, że nad ludźmi bliskimi śmierci widział świetlny znak i że byłby się chętnie pozbył tego rodzaju jasnowidztwa, ale to nie było w jego mocy, nie zwierzał się też nikomu z tych przewidywań. Strasznie nas intrygowały te jego „zdolności”, którym nie całkiem dowierzaliśmy, uprosiliśmy go więc o pokazanie nam czegoś niezwykłego; niechętnie, naglony przez nas, zgodził się. Zawinęliśmy go w pled i dla pewności związaliśmy jeszcze ten wałek grubym sznurkiem. Leżał tak skrępowany na ziemi w gabinecie stryja i podjął się zdjąć ze ściany portret... chyba któregoś przodka, a był to sztych, czy też rysunek, w ramie, pod szkłem. Nikt nie miał w pokoju pozostać, prosił, żeby nikt nie śmiał się schować za kotarę, bo to mogłoby się źle skończyć dla niego. Wyszliśmy i stanęliśmy tuż za drzwiami, w słuch zamienieni. Po chwili usłyszeliśmy, jak obraz zdjęty z haka, zsuwa się powoli ze ściany, szorując ramą i lądując na ziemi z brzękiem szkła, potem jeszcze lampa naftowa, nie zapalona, stojąca na pobliskiej szafie, stuknęła o podłogę dźwięcząc kloszem o szkiełko. Wtedy posłyszeliśmy wysilone stęknienie Ossowieckiego i jego głos zduszony: „Wejść”. Leżał bardzo czerwony, wyczerpany, zawinięty i zasznurowany, jak go zostawiliśmy. Odwinięty, wrócił z nami do salonu. Podjęto zwykłą rozmowę, ale nikt z nas, o ile pamiętam, nie śmiał

omawiać doświadczenia z obrazem i lampą, ani dochodzić źródeł siły, żadną nauką do dziś dnia nie zbadanych.

W późniejszych latach Marszałek Piłsudski, zainteresowany jego darem, sprowadził Ossowieckiego do Belwederu i stwierdził na przykładzie odczytywanych przez niego listów autentyczność tajemniczej siły. Po wybuchu wojny 1939 i ujęciu tysięcy naszych wojskowych do niewoli niemieckiej i sowieckiej, mnóstwo kobiet udawało się do Ossowieckiego, błagając by użył swego jasnowidztwa dla odszukania mężów, synów, braci, stwierdzenia czy żyją i gdzie?

Ossowiecki miał dobre serce, przyjmował je wszystkie, udręczone niepokojem, usiłując pocieszyć twierdzeniem, że ich najbliżsi żyją, przeważnie sam nie mając tej pewności, lub mając wprost przeciwną, jako że wielu z tych zaginionych — jak mówił — nie widział.

Stoliki

Od początku wojny i to na dłuższy czas zapaliliśmy się do kręcenia stolików. Modę tę wprowadziła 17-letnia Marytka Potulicka, późniejsza Tarnowska, która jako uchodźca z 1915 roku wylądowała w Stańkowie, potem u nas w Przyłukach. W pierwszym takim seansie odezwała się jakoby Matka nasza, mówiąc w stylu jej właściwym, której kuzynki prawie nie pamiętały, a Marytka nie znała. Przy stoliku była też Różia, 13-letnia, najlepsze nasze medium, ale Różia miała dwa lata w roku śmierci Mamy.

Wielkie wrażenie odniosły one wtedy z tonu, w jakim przemówiła do nich, jakoby nasza Mama, z jej upomnień i wskazówek.

Każdy, kto próbował kiedyś kręcić stoliki lub ekierki wie, jaka go ogarnia ciekawość i z jakim uporem sięga, dzięki tym skromnym środkom, do przeniknięcia Bożymi wyrokami zasłoniętej tajemnicy zaświata.

Po śmierci młodego Karpowa, on najczęściej przychodził do Rózi i wtedy stolik szalał, wyrывał się nam z rąk do fortepianu, nie przerywając naszego łańcucha rąk na swoim okrągłym blacie, po ciemku trafiał na odpowiednie klawisze pierwszego taktu pieśni, którą Karpow lubił nucić: „*Kak nynie sbirajetsia wieszczij Olieg...*”.

Ta pasja trwała szereg miesięcy. Próżno czekaliśmy na Mamę, za to zgłaszali się inni, niespodziewani, nieraz zapomnieni, jak np. daleki nasz kuzyn austriacki Leo Tränkwald, który poległ na samym początku wojny, o czym nawet nie wiedzieliśmy, aż do zupełnie obcych, niesamowitych głosów, tumaniących, kpiących, niepokojących.

Wreszcie przekonaliśmy się, że te różne głosy nie odsłoniły nam nawet rąbka tajemnicy pozagrobowej, i że w tej „zabawie” jest jakieś nieposzanowanie zmarłych.

Daliśmy więc spokój stolikom i nigdy więcej w Przyłukach do nich nie wróciliśmy.

Dwie orientacje

Spółceństwo polskie pod obu zaborami było wówczas wyraźnie podzielone na dwie orientacje. Jedni ufali obietnicom manifestu W. Księcia z 14 sierpnia 1914 i przyszłość Polski Zjednoczonej i autonomicznej widzieli pod berłem cara, inni, po zajęciu Królestwa Kongresowego przez Niemców, zawierzili proklamacji państw centralnych z 5 października 1916 roku, proklamacji obiecującej Polsce, podobnie jak manifest rosyjski, odbudowę państwa autonomicznego ale pod berłem Hohenzollernów.

Władze niemieckie liczyły na to, że obietnica niezależności pozwoli zmobilizować kilkadziesiąt polskich dywizji na front Wschodni, kadrą tych dywizji miał być żołnierz legionowy.

Orientacja rosyjska przeważała w Kongresówce i była

zrazu Legionom Piłsudskiego niechętna, wręcz wroga. Jego czyn wojskowy uznano za beznadziejne szaleństwo, a jego samego miano za szkodnika, służę i najmitę Niemców. Marszałek zachował, chyba do końca swego życia, gorzki uraz do Królewaków, stąd powstało, być może, jego porównanie Polski do obwarzanka w środku pustego.

Wkrótce po proklamacji państw centralnych w 1916 roku nowy prezydent Stanów Zjednoczonych, Wilson, w pierwszym swoim orędziu z 22 stycznia 1917 do Senatu, upomniał się o Polskę, nie tylko zjednoczoną, ale wolną i niepodległą.

Poprzez front wojenny, dzielący nas od Warszawy, dotarł wiersz Edwarda Słoińskiego i był na wszystkich ustach:

*„Rozdzielił nas, mój bracie,
Zły los i trzyma straż
W dwóch wrogich sobie szańcach,
Patrzymy śmierci w twarz...”*

Wielkie słowa zjednoczenia i niepodległości, wypowiedziane od wieku z górą zaledwie szeptem, a głośno tylko na polach walki, głosili obaj rywalizujący w obietnicach zaborcy, budząc nadzieje, entuzjazm i powodując tłumne, uliczne manifestacje.

Część druga

REWOLUCJA

Rok 1917

W początkach 1917 roku ruchy rewolucyjne, bunty, strajki, manifestacje, ogarniały stopniowo cały kraj.

Wszystkie sfery, nawet konserwatywne, spodziewały się zmian i demokratycznego przewrotu.

Nam zdawała się ta wiosenna rewolucja pełna nadziei, całe, jak sądziliśmy, imperium rozpadnie się na niepodległe kraje, a Polska, w pierwszym rządzie, powstanie w swoich historycznych granicach.

15 czerwca Mikołaj II-gi abdykował, nie na rzecz chorego syna, bo wiedział, że jest skazany, ale na rzecz brata Michała. Kiedy mu przedłożono manifest do podpisania, przeżegnał się: „Taka jest Wola Boża — oświadczył — abdykuję”. Książę Lwow miał pozostać premierem Rządu Tymczasowego, Kiereński — ministrem Spraw Wewnętrznych, Mikołaj Mikołajewicz — objąć ponownie naczelne dowództwo wojskowe.

Mikołaj II-gi nie był człowiekiem walki, narzucona abdykacja zwalniała jego, władcę słabego, od ciężącej mu odpowiedzialności. Dla cesarzowej jednak z chwilą wyrzeczenia się przez cara wszechwładzy wszystko było skończone. Spaliła papiery o znaczeniu politycznym i

zamilkła. Zawiodła się na narodzie rosyjskim, zawiodła się na mężu.

Internowani pod strażą w pałacu carskosielskim, z częścią przydzielonego im parku, czekali swego losu.

Król angielski Jerzy V-ty, najbliższy kuzyn Mikołaja, ofiarowywał mu azyl, radził ucieczkę.

Czy car nie chciał narazić się na upokorzenie, którego doznał Ludwik XVI-ty schwytany w drodze? Czy honor ponizonego władcy nie pozwalał mu kraju opuszczać? Nie skorzystał z propozycji. Odgarniał łopatą śnieg ze ścieżek przydzielonej mu części parku, wieczorami czytał żonie powieści angielskie z epoki wiktoriańskiej.

Zabobonny w swojej religijności sądził, że się urodził pod złą gwiazdą, skazany na stałe niepowodzenia, carowa nazywała go „mój biedny, zrezygnowany Hiob”. Stąd płynął jego niezwykły spokój i pozorna na wszystko obojętność, była w tym również cesarska pogarda — obrona przed losem.

Minęła wiosna, nastąpiło lato. W sierpniu Kiereński, wówczas premier Rządu Tymczasowego, obawiając się niekontrolowanych ruchawek mogących grozić życiu więźniów carskosielskich, wyprawił całą rodzinę, z kilku wiernymi domownikami, na Syberię, internując ich pod ścisłą strażą, w Tobolsku.

Wiosna w Piotrogradzie

Józio skończył szkołę oficerską Korpusu Paziów, przezwaną po Rewolucji Lutowej „Uskorennyje kursy praporszczycow”, Staś nie zdążył skończyć swojej artyleryjskiej szkoły i wstąpił do wojska jako szeregowy. Pojechałam wtedy do Petersburga, od niedawna Piotrogradu, aby się widzieć z braćmi. Bardzo obawialiśmy się dla Józia służby wojskowej, ze względu na jego zawsze słabe płuca. Mieszkałam w Carskim Siole, gdzie p. Iwanowski, wychowawca braci, prowadził rodzaj bursy. Spę-

dziali tam pewien czas dla przygotowania rosyjskich egzaminów maturalnych: kuzynowie stańkowscy Emeryk i Wojt, Andrzej Bohomolec, późniejszy znakomity nawigator, który na małym żaglowcu „Dal” przemierzył w 1933 roku Atlantyk, a po drugiej wojnie farmer kanadyjski; Aleksander Plater Zyberk, późniejszy ksiądz, kapelan Żydów-katolików w getcie warszawskim, a następnie proboszcz ubogiej parafii w centralnej Francji, Eugeniusz Lubomirski, późniejszy zamożny cukrownik małopolski, z kolei łągiernik dalekiej północy, a potem oficer do zleceń i wierny adiutant gen. Andersa i inni jeszcze. Józio mieszkał u wujostwa Meyendorffów, spotykaliśmy się to u Wuja, to w Carskim.

Aleksander, baron Meyendorff, b. członek dwu kolejnych Dum Państwowych, doświadczony polityk przenikliwy obserwator budzącej się rewolucji, śledził ze szczególną uwagą przebieg posiedzeń Rad Żołnierskich i Robotniczych, gdzie przemawiali najwybitniejsi bolszewicy i najznakomitsi mówcy.

W Smolnym Instytucie — siedzibie Rad Żołnierskich i Robotniczych — przy dzień i noc trwających obradach, ważyły się losy kraju. Kiereński objeżdżał front wygłaszając patriotyczne mowy, w celu poderwania mas żołnierskich do nowej ofensywy, był wspaniałym mówcą. Ale żołnierz pragnął pokoju, nie wojny. Dowódcom nie ufał, od rewolucji spodziewał się ziemi i wolności. Więzy dyscypliny wojskowej rwały się, masowy, samowolny odpływ z frontu wypełniał pociągi i dworce tłumem zbałamuczonego różnoraką, nieraz sprzeczną, propagandą żołnierstwa.

W parkach, na placach i skwerach cesarskiego Petersburga, rewolucyjnego Piotrogradu, koczowały gromadami bure szynele w oczekiwaniu wypadków. Leżeli nad sadzawkami carskosielskiego parku w rozkwicie, pogryzając słonecznikowe ziarna — siemieczki.

Wiosna przechodziła już w lato. Białe noce szumiały gwarem. Ktoś z tłumu wskakiwał na ławkę, lub cokół

pomnika, wykrzykiwał hasła rewolucyjne, albo ogłaszał uchwały, powzięte na obradach w Smolnym Instytucie, słuchacze się skupiali, toczyły się ożywione dysputy, namiętne kontrowersje, obalono rządy, dzielono ziemię, zajmowano fabryki i banki... W perspektywie Newskiego Prospektu strzała Admiralicji lśniła ostatnimi promieniami zachodu i purpurową zorzą wschodu. Na posiedzeniach Rządu, radach żołnierskich i robotniczych, wiecach kolejarzy, na placach i ulicach, radzono, radzono, radzono... Chaos ogarniał kraj. Katarzyna, z pomnika na Newskim, dzierżyła w prawicy zamiast wydartego jej berła, czerwoną flagę.

Siadywaliśmy na jakimś słońcem wypalonym trawniku i my też radziliśmy, ale o naszej własnej, niezależnej przyszłości, studiach, podróżach, podobnie jak tłum żołnierski nieświadomi tego, co kryje ta wiosenna, bezkrwawa, rozgadana rewolucja.

W pierwszych dniach listopada nastąpił przewrót bolszewicki, kraj był znużony, rozerwany między sprzeczne i ścierające się ze sobą wiary polityczne, z armią w zupełnym rozkładzie, i setkami tysięcy dezertarów, oblepiających wszystkie dworce.

Nie chwiejny Kiereński odstąpił nową kartę historii Rosji, ale odstąpili ją Lenin i Trocki. Zwycięstwo przewrotu bolszewickiego wisiało na włosku, jak stwierdził Lenin, i gdyby tegoż października 1917 roku bolszewicy nie wzięli władzy w ręce, zdaniem Trockiego, nigdy by później jej już nie zdobyli.

Bolszewicy obiecywali natychmiastowe zwołanie Konstytuanty, która miała zdecydować o ustroju kraju, ale gdy została zwołana, oni ją rozpędzili. Oni zwalczali karę śmierci w armii i sami z powrotem ją wprowadzili obejmując tym dekretem też cywilną ludność. Oni głosili swobodę dla każdej narodowości, prawo do niepodległości, zachęcali nawet do oderwania się od Rosji — po to, by je następnie siłą sobie poddać. Oni obiecali ziemię chłopom, aby następnie odbierać chłopom siłą

i grozą okrutnych egzekucji wszystko, co na tej ziemi wypracowali.

I tak nastał ów „*Rossiji czornyj god*”.

Wojsko Polskie

Mińsk tymczasem przechodził z rąk do rąk, w pewnej chwili samorzutnie władze miejskie znalazły się w rękach polskich, dzięki polskim oddziałom wojskowym kwaterującym w mieście i jego okolicach.

Już od początku wojny tworzyły się ochotnicze grupy żołnierzy polskich, wyłączanych z wojska rosyjskiego, jedną z pierwszych był Legion Pułaskiego, który uzyskał zezwolenie tworzenia formacji ochotniczej, z komendą polską i odrębnym umundurowaniem. Od pierwszego szwadronu, zorganizowanego w styczniu 1916 roku, w okolicy Maciejowic, poprzez trudy, wędrówki i walki, formacja, stale szykanowana przez rosyjskie władze wojskowe, patrzące złym okiem na zbrojących się Polaków, korzystając ze słabości rosyjskiego dowództwa, a następnie z chaosu rewolucyjnego, rozrosła się, Legion Pułaskiego przekształcił się w dywizjon, wślawił obroną Stanisławowa przy odstępowaniu wojsk rosyjskich, i pamiętną męstwem żołnierzy i umiejętnością dowództwa bitwą pod Krechowcami. Z rozkazu naczelnego wówczas wodza armii rosyjskiej, Korniłowa, dywizjon polski został przerzucony na Białoruś do formującego się pod Mińskiem 1-go Korpusu polskiego generała Dowbór Muśnickiego, do którego ściągali zewsząd Polacy z carskiej armii w rozkładzie.

W początkach września 1917 roku dywizjon rozkwaterował się w majątku Dukora pod Mińskiem. Żołnierze odmówili przysięgi na wierność rewolucyjnemu Rządowi Tymczasowemu.

Wypracowany został tekst własny, całkiem odrębny, na wierność Rzeczpospolitej Polskiej. 27 marca 1917

roku wedle tego tekstu dywizjon został zaprzysiężony, a 5 kwietnia, z rozkazu dowódcy, przemianowany na pułk.

Jesienią 1917 roku nastąpiło nasze spotkanie z 1-szym pułkiem Krechowickim, z którym miały nas powiązać następnie losy tylu drogich nam chłopców.

Wstąpili wtedy do niego nasi bracia, kuzynowie, przyjaciele, a walczyło i zginęło w nim następnie kilku nieodżałowanych.

W jakimś prywatnym lokalu odbył się wówczas w Mińsku raut dla oficerów 1-go pułku. Oświetlenie salo-nów, blask zastawy stołowej, strojów i klejnotów pięknych, podnieconych przyjęciem pań mińskich: Dziekońskiej, Czarnockiej Dąglowej, Wańkowiczowej; amarantry mundurów — to wszystko złożyło się dla mnie na kolorowy, radosny obraz.

Oficerowie zaprosili następnie wszystkich sympatyków pułku, krewnych i znajomych do Dukory, gdzie w pałacu Hartingów mieścił się Sztab Pułku i dokąd i my nazajutrz pojechaliśmy.

Ze starych kasztanów, w jesiennym słońcu, leciały liście. Cały park pałacowy był zasłany złotem. Sztab umieścił się w pałacu, w rozległej sali jadalnej wstawiono długi stół dla gości. Przemawiał jeden tylko pułkownik, Bolesław Mościcki, spięty skoncentrowaną energią, żołnierz-Polak, dowódca z wyboru 1-go pułku.

Swoje krótkie przemówienie zakończył pułkownik toastem na rzecz polskiej armii, ostoji wolności i niepodległości Ojczyzny, oraz hasłem każdego żołnierza polskiego „Niech żyje wolna, niepodległa, zjednoczona Polska!”. Zagrała orkiestra, tańczono, ale bez ochoty — każdy chyba o zmierzchu tego jesiennego dnia przeczuwał zagrożenie naszej zaimprovizowanej polskiej armii w obcęgach dwóch wrogich sił. Zapalono kandelabry. U szczytu długiego stołu siedział z głową odrzuconą na oparcie fotela, rotmistrz Bronisław Romer, dowódca 3-go szwadronu; na krześle, prawie u jego stóp, Zygmunt Podhorski, do-

wódca 2-go. Znaliśmy ich z krakowskich karnawałów. Romer pochodził z Inflant, wysoki szatyn o regularnych, cienkich rysach, żołnierskiej postawie, wysoko nosił głowę.

Podhorski, niebieskooki blondyn, z bardzo licznego „plemienia” Podhorskich z Ukrainy, towarzysz i przyjaciel Romera — radzili nad czymś tego wieczora, zamysłeni, obojętni na ruch i gwar otaczający. I tak mi została w żywej pamięci ta grupa, w migotliwym blasku świec, przy stole biesiadnym w Dukorze.

Rotmistrz Władysław Anders przyprowadził wówczas do pułku silny szwadron, złożony z Polaków wycofanych z zapasowego pułku gwardii, napływali też młodzi po ukończeniu szkół wojskowych, zaciągała się szlachta z okolicznych zaścianków i dworów; pułk wzrósł do 6-ciu szwadronów.

Rózi, 16-toletniej, asystował tego wieczora rotmistrz Anders, błyskając zębami w krótkich, zdobywczych uśmiechach, przed nocą odprowadził ją do kwatery Stasia, gdzie miała nocować.

Wspomnienie tej migawkowej idylli jesiennego wieczoru w Dukorze przetrwało dwie wojny i długie jeszcze lata. Generał pamiętał „Rózinke” i ona go pamiętała. „... zamknięta karta historii — pisała w czerwcu 1970 roku po śmierci Generała. — Nawet i mnie prześladuje to widmo młodości najwcześniejszej mojej, zachwytu niezmiernego tym Kmicicem, bo tak sobie Kmicica wyobrażałam — no a potem poszła historia świata, trzęsienia ziemi, naszej ziemi i morze łez i pogmatwanych losów ludzkich i znowu rola, której się podjął. Ale go już nie widziałam nigdy i tak mi został w pamięci jaskrawo...”.

Józio zabrał mnie do swojej kwatery, mieszkał w pobliskiej wsi Korowajewo, w chłopskiej chacie. Ustąpił mi swoje łóżko polowe, sam spał na ławie. Wczesnym, pochmurnym rankiem, wędrowaliśmy wzdłuż małego potoku po wilgotnej łące, rozważając naszą i naszego wojska niepewną przyszłość. Co będzie z korpusem Dowbora

w razie dalszej ofensywy niemieckiej. Co będzie w razie zawieszenia broni?... A co z naszym marzeniem o Paryżu? Wyższych studiach?

Nasz miły furman, Michaś Przywara, stał już z końmi przed pałacowym podjazdem. Żegnali nas bracia i ich koledzy. Niesporo było odjeżdżać, niesporo ich żegnać.

*„Ułani, ulani
malowane dzieci...”*

W początkach następnego roku I-szy pułk miał być przerzucony w pobliże Bobrujska, gdzie się koncentrowały inne jednostki polskie, wyłączone z armii rosyjskiej. Szósty szwadron rotmistrza Andersa zatrzymał się wtedy na jedną dobę w Przyłukach. Czy tak mu wypadła droga, czy też może dowódca chciał odnowić znajomość z Dukory? Żołnierze rozkwaterowali się we dworze, jeden pluton zajął naszą salę jadalną, gdzie naniesiono słomy i umieszczono im legowiska. Oficerowie zajęli gościnne pokoje, a przyjmowaliśmy ich w naszym górnym saloniku. Nazajutrz szwadron formował się na trawniku przed domem. Było mroźno i śnieżno. Padły rozkazy, ruszyli czwórkami aleją ku gościńcowi.

Jeszcze jedno pożegnanie.

Coraz częstsze były starcia polskich oddziałów z zbol-szewizowanymi oddziałami rosyjskimi i uzbrojonym chłopstwem: polskie wojsko było dla ludności białoruskiej, stale agitowanej przez bolszewickich agentów, wojskiem „pańskim”, należało je rugować, by zawładnąć ziemią, na tyle chłopci rozumieli bolszewicką propagandę, a bolszewikom chodziło ponadto, by nie dopuścić do połączenia pułku z korpusem w Bobrujsku, przeszkodzić koncentracji sił polskich.

Próby porozumienia i nawiązania łączności poprzez front z komendantem Piłsudskim i Legionami nie udały

się. Piłsudski był już internowany w Magdeburgu, a Legiony, oficjalnie, rozwiązane.

Coraz gorsze stosunki korpusu Dowbora z bolszewikami doprowadziły do otwartej wojny.

Pułkownik Mościcki postanowił wówczas przedrzeć się siłą przez front dla porozumienia z Radą Regencyjną, ale ten wypad, w połowie lutego, w 120 koni, pod dowództwem rotmistrza Romera, po krwawej potyczce z oddziałami frontowymi, skończył się odstąpieniem szwadronu.

Wtedy pułkownik postanowił przedostać się sam przez front w przebraniu chłopskim, mając za przewodników radziwiłłowskich gajowych (setki hektarów poleskich błot i lasów stanowiły część rozległych dóbr radziwiłłowskiej ordynacji Dawidgródzkiej).

Towarzyszająca pułkownikowi kilkusobowa delegacja rozproszyła się w lesie, dla niepoznaki. Czy nastąpiła zdrada? Wszyscy wpadli w ręce uzbrojonego chłopstwa. Pułkownik poległ po krótkiej walce. Zakopane w lesie zwłoki odnaleziono po odstąpieniu bolszewików, przewieziono do Mińska i złożono w podziemiach katedry.

W 1921 roku wydane przez białoruskie władze spoczęły w podziemiach kościoła Św. Krzyża w Warszawie, a wódz naczelny, Naczelnik Państwa Józef Piłsudski oznaczył trumnę pułkownika Bolesława Mościckiego wojennym orderem *Virtuti Militari*.

Ciężka żałoba padła na pułk Krechowiecki.

18 lutego 1918 roku dowództwo niemieckie niespodziewanie wznowiło ofensywę, zajmując bez oporu kraj pogrążony w chaosie. Na południu zajęli Niemcy Ukrainę, na północy Psków i Narwę, docierając do bram stolicy. Mińsk został zajęty bez boju.

Po okresie bolszewickiego terroru polsko-białoruska ludność miasta oraz liczni uchodźcy witali Niemców jak wybawicieli.

W początkach marca został, po długich przetargach,

podpisany w Brześciu traktat separatywnego pokoju. Warunki niemieckie były dla Rosji haniebne.

„Pokojem hańby” określił Lenin traktat Brzeski — „w obliczu prawa niebyłym, ale w danej chwili koniecznym”.

Losy Białorusi

W kilka dni po przewrocie bolszewickim druga Rada Sowieców, 14 listopada 1917 roku ogłosiła dekret, mocą którego wszystkie ludy byłego cesarstwa rosyjskiego zdobywają pełną niepodległość, włącznie do prawa stworzenia niezależnych państw.

Dalszymi dekretami zniesione zostały wszystkie przywileje narodowe i religijne, wszelkie ograniczenia narodowościowe i grup etnicznych zamieszkujących terytoria b. imperium.

Omalże połowa carskiej Rosji, w skrajnym zamieszaniu, rozbiła się na niezależne, demokratyczne republiki: Ukrainy, Armenii, Turkiestanu i inne. Krótkie i żłudne były dni tej wolności, jako że Leninowi nie chodziło o wyzwolenie krajów i ludów, wiekami przez cara podbijanych, ale przede wszystkim o rozbitcie dotychczasowego ustroju.

Jeszcze przed przewrotem bolszewickim został zwołany w Mińsku, przez Polaków, w wielkiej sali Towarzystwa Rolniczego, wiec obywateli białoruskich, mających drogą powszechnego głosowania wypowiedzieć się o przyszłości kraju.

Przewodniczyli temu zebraniu dwaj najbardziej zasłużeni jego obywatele Roman Skirmuntt i Edward Woyniłłowicz. Wszyscy kochaliśmy nasz kraj rodzinny i nigdy byśmy go nie opuścili, urodzeni i wychowani w Białorusi, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy z jej odrębności i już skryształizowanego narodowego uświadomienia.

Przez wieki polskiego przewodnictwa na Litwie i

Białorusi elita narodu, z wielką dla tego narodu szkodą, polszczyła się i odpływała od swego podłoża.

Nasi sąsiedzi, ogromna większość ziemiaństwa i mińskiej inteligencji, wyrosli z białoruskiego pnia, ale wzbogaceni i nobilitowani, jak Woyniłłowiczowie, Wańkowiczowie, Bogdanowiczowie, Fedorowiczowie, Trepkowie, Jodkowie i inni włączali się stopniowo do napływowego elementu polskiego przyjmując język, obyczaj i wyznanie kolonizatorów, bogacąc swymi znamiennymi walorami tężyzny i bitności element polski, zamiast tworzyć elitę swego narodu; ten sam proces odbył się na Litwie etnograficznej, to samo zaszło z dynastycznymi rodami Czartoryskich, Sanguszków, Sapiehów, to samo z Radziwiłłami, spolszczonymi jak cała szlachta litewsko-białoruska. Toteż kiedy zażądano od wiecu mińskiego odpowiedzi na pytanie, czy Białoruś ma ustalić swój byt jako niezależna republika, czy też ma być połączona, jak przed rozbiorami, z Polską, głosowaliśmy ogromną większością za połączeniem z Polską. Nie wiem, czy narodowo uświadomieni Białorusini byli obecni na tym wiecu i jaką by zajęli wobec niego postawę, gdyby byli. Nam, głosującym za połączeniem Białorusi z Polską, zdawało się oczywiste, że ten kraj, bezbronny wobec rosyjskiej zaborczości, powinien mieć oparcie w Polsce. Przeciwno połączeniu z Polską opowiedzieli się obaj przewodniczący, Roman Skirmuntt i Edward Woyniłłowicz, mieliśmy im to wówczas za złe, nie pojmując zagadnienia.

Po odparciu czerwonej armii w 1920 roku, traktatem Ryskim z 1921 roku połowę Białorusi, wraz z Mińskiem, przyznano Sowiетom. I znów płynęły lata. Kraj doznał masowych wysiedleń, prześladowań narodowościowych i religijnych, najgorzej ucierpiała ludność polska i katolicka.

We wrześniu 1939 roku po zajęciu kraju przez armię czerwoną aż do Bugu, Wanda, kierowniczką gimnazjum w Brześciu znalazła się z wielu innymi Polakami w więzieniu mińskim, które liczyło ok. 12 tysięcy więźniów

i tam, w celi kobiecej, poddana tym samym co inne więźniarki udrękom śledztw i karcerów, skazana na piętnaście lat „obozu poprawczego”, tj. katorgi, poznała bytowanie kraju.

Towarzyszkom swoim przypominała język polski i modlitwy zapomniane, uczyła alfabetu polskiego.

„Czemuście nas nie chcieli? — mówiły te kobiety — czemuście się nas wyrzekli, Dziadek by nas przyłączył do Polski — a Polacy nie chcieli!”.

Wanda opowiadała im o życiu i śmierci Dziadka, o uroczystym jego pogrzebie, o żałobie całego kraju, o złożeniu zwłok na Wawelu, wśród królów polskich... Opowiadała o nabożeństwach, procesjach, pielgrzymkach do Częstochowy i Ostrej Bramy, wciąż prosiły o to samo, ciekawe każdego szczegółu, głodne i spragnione kultu religijnego, liturgii katolickiej; więźniarki prawosławne, a nawet Żydówki skupiały się również, zasłuchane.

Wyzwolona z mińskiego więzienia przez ofensywę niemiecką 1941 roku opowiadała nam Wanda swoje i tych kobiet dzieje, kobiet więzionych i katowanych za kontakty z ludźmi zza kordonu, za łańcuszki od różańców, a te opowieści przypomniały mi w 1941 roku wiec miński z roku 1917.

Ja z Rózią i jej nauczycielką trzymałyśmy się jeszcze uparcie Przyłuk, dawno już ogołoconego domu, wszystko bowiem co wartościowsze złożono do skrzyń i zabezpieczono w Mińsku. Mielśmy we dworze komisarza w skórzaney, czarnej kurtce, który wydzielał nam i całej służbie domowej i folwarcznej, produkty żywnościowe oraz naftę. Korzystanie ze stajni zależało od jego zezwolenia, zresztą wszystko szło po dawnemu, p. Rewieński, administrator, zarządzał nadal majątkiem, żadnych kwaterunków nam nie narzucono.

Ograniczenia, zarządzone przez komisarza w czarnej kurtce, nie dolegały mi. Czy byt nasz określił moją świadomość, czy też raczej Żeromski, Korczak i Tołstoj — moje młodzieńcze lektury, Konopnicka, Orzeszkowa,

utwierdziły w mojej świadomości tę, jak Rosjanie to nazywają, „*socjalnuju bol*”? Nierówności społeczne we własnym domu i nie kwestionowane przez nikogo uprzywilejowanie — nękały.

Ulga było dla mnie, że z trzech stołów został jeden, wspólny, i że wieczorami siedziałyśmy przy jednej naftowej lampie z naszymi służącymi Antosią i Serafiną, szyjąc lub czytając.

Raz jeden ostrzeżono nas przed zamierzonym przez sąsiedzką wioskę Podhaj pogromem naszego domu. Kilka dworów okolicznych uległo takim pogromom. Podhaj leżał na przeciwległym wzgórzu, poza tarasami parku, stawami i rzeką, widzieliśmy ich chaty równie dobrze, jak oni nasz biały pałac w całej okazałości.

Uprzedził nas o niebezpieczeństwie ogrodnik, p. Szlezynger, bardzo nam życzliwy i powiadomił o tym księdza Zelbę w Wołczkiewiczach. Ksiądz przyjechał do nas swoimi końmi. Wymknęłyśmy się o szarej godzinie (Ksiądz czekał na nas z bryczką u wylotu alei lipowej) — zabierając jedynie Piffa, naszego buldożka, który swoim upartym szczekaniem na konie mógł zaalarmować komisarza. Przenocowałyśmy w plebanii na słomie, a nazajutrz ksiądz odwiózł nas do Mińska. Żadnego jednak pogromu Przyłuk nie było, ani wtedy, ani potem, i mimo sprzeciwu Ojca wróciłyśmy do Przyłuk z tymże Piffem, własnymi jeszcze końmi.

Część trzecia

NIE ZABIJAJ

Dekalog i Tołstoj

W samym początku 1918 roku zajechała przed ganek naszego domu chłopska fura i wysiedli z niej nasz brat Józef i jego dwaj koledzy Antoni i Edward Marylscy w mundurowych płaszczach, ale bez oznak wojskowych.

Co się stało?

Pierwsze starcie z bolszewikami i brutalne poskramianie wrogiej wojsku polskiemu ludności białoruskiej uświadomiły naszego brata, że ani zabijać, ani „pacyfikować” ludności miejscowej nie będzie, nie zdoła. Wystąpi z wojska — może rozstrzelają go jako dezertera — był gotów na wszystko.

Ta ważka decyzja i następujące wypadki, które tak naznaczyły naszą młodość, wymagają wyjaśnienia. Józio od paru lat zaczytywał się w Tołstoj i doszedł do przekonania, że jedynie głoszona przez Tołstoja zasada nie-sprzeciwiania się złem złu jest zastosowaniem w życiu zasad ewangelicznych: „Słyszeliście że rzeczono oko za oko i ząb za ząb. Ale ja wam powiadam żebyście się nie sprzeciwiali złemu, ale kto by cię uderzył w prawy policzek nastaw mu drugiego” (Mat. V. 38-9).

Powodowało to konsekwentną odmowę służby wojskowej, za którą setki wyznawców Tołstoja szły do wię-

zienia i na zesłanie. Nieustające dyskusje w ciasnym kole rodzeństwa i kilku bliskich umocniły w Józiu ten pewnik. Przyśpieszony kurs oficerski Korpusu Paziów w Piotrogradzie miał jeszcze odwlec o kilka miesięcy powołanie do wojska, ponadto wszyscy łudziliśmy się, że jego słabe zdrowie, częste bronchity, a nawet obawa gruźlicy uchronią go przed poborem, tym bardziej że wojna zdawała się na ukończeniu. Ale konflikt sumienia ciążył, czuł że z tchórzostwa jedynie nie śmie realizować swojej ideologii.

Przyjęty do 1-go pułku Ułanów Krechowieckich stacjonującego wówczas w Mińsku i jego okolicach, zrozumiał że żyć nadal podwójnym torem niezrealizowanych w czynie przekonań stało się dla niego niemożliwe. Zespół oficerski 1-go pułku Krechowieckiego ujął go od razu, trafił po raz pierwszy do środowiska młodzieży czysto polskiej, ideowej, entuzjastycznie patriotycznej, spragnionej walki, w tamtych warunkach już niewątpliwie i wyłącznie walki o Polskę niepodległą. A jednocześnie ideologia tołstojowska wiązała mu się nie tylko z antymilitaryzmem, ale przeczyła samemu pojęciu patriotyzmu i narodu. W głowie i sercu tkwiła mu idea zbratania Ludzkości przez duże L. W portfelu nosił przez szereg miesięcy wycinek z gazety z mową socjalisty ministra Rządu Tymczasowego, Ceretellego, który przybył do stolicy wprost z zesłania syberyjskiego i wzywał żołnierzy wszystkich narodów, na wszystkich frontach, aby poprzez zwały trupów wyciągnęli do siebie ręce, bratając się z przeciwnikiem. Ten wielki optymizm, który ogarnął szerokie warstwy społeczeństwa imperium po upadku caratu, optymizm Rządu Tymczasowego z ks. Lwowem na czele, optymizm masy żołnierskiej oczekującej powrotu do domów, podziału ziemi, spełnienia haseł rewolucyjnych — to wszystko miało duży wpływ na Józia i pośrednio na nas. Wierzyliśmy, że nastały nowe czasy sprawiedliwości i równości dzięki tej bezkrwawej, nowej „wiośnie ludów”.

Polska niepodległa? Oczywiście! Deklaracja Rządu

Tymczasowego, a następnie leninowski dekret z 14 listopada o samostanowieniu narodów gwarantowały tę wolność, a wojsko zdawało się Józiovi raczej pięknym symbolem tej przyszej wolności, aniżeli narzędziem walki.

Jednym z pierwszych kolegów, któremu Józio zwierzył się ze swych przekonań, był rotmistrz Bronisław Romer, który miał duży autorytet w pułku, bo żył dosłownie myślą o odrodzeniu Polski i tak pozostał w naszej pamięci jako wzór polskiego żołnierza, gotowego na każdą dla swojej idei ofiarę. Prawdopodobnie Romer nie spotkał się dotąd z teoriami, które mu Józio wykładał, ale słuchał uważnie, zaufał dobrej wierze kolegi i starał się jedynie wytłumaczyć mu, mnożąc przykłady z życia wojskowego, że wojna o słuszną sprawę prowadzi człowieka do lepszego, sprawiedliwszego świata. Józio pamiętał pewien wieczór w opustoszałej sali pałacu w Dukorze, przy jednej świeczce, kiedy to Broniek mówił mu o bohaterstwie i niezrównanej wytrzymałości francuskiego żołnierza na froncie zachodnim, kiedy ten żołnierz tkwił przez dwa lata w błocie okopów i ginął tysiącami za każdym atakiem na bagnety. Takie ofiary, mówił Romer, nie mogą nie mieć konsekwencji: „Z tego, zobaczysz, powstanie wielki hymn ducha. Należy nam iść śladem naszych przodków, żołnierzy, powstańców, a Polska odrodzi się z naszej krwi”.

Józio przeciwstawiał mu nie tylko teksty ewangeliczne, ale plany polityczne zgody wszechświatowej. Broniek milczał zaskoczony argumentami czerpanymi nie tylko z Tołstoja, ale i pacyfisty Romain Rollanda.

Raz jeden śpiesząc na zebranie dowódców szwadronów zostawił Broniek kartkę z wypisanym na niej jednym pytaniem: „Czy Polska mogłaby powstać i istnieć bez wojska?”. Na to zapytanie Józio nie dał mu żadnej odpowiedzi, tak mu się zdało naiwne, uboczne.

Tołstoj i Romain Rolland byli Józia i naszym duchowym pokarmem. Bez szerszych podstaw myślowych, bez czucia historii, żyliśmy przekonaniem, że wiara góry

przenosi po odrzuceniu wszelkich kompromisów, włącznie z kompromisem posiadania: „... temu, który się z tobą chce prawować o suknię twoją, puść mu i płaszcz...” (Mat. V. 40).

Kiedy Józio zameldował się u por. Podhorskiego, dowódcy szwadronu, do którego był skierowany, wyznał mu, że wstąpił do wojska z tchórzostwa, nie mając odwagi realizować swoich przekonań. „Poznasz życie — odparł mu Podhorski — naszych wspaniałych ułanów, na pewno zmienisz przekonania...”.

W pułku Józio poznał i wkrótce zaprzyjaźnił się z dwoma braćmi Marylskimi, ciotecznymi braćmi rotmistrza Żółkiewskiego, który już w bitwie pod Krechowcami wsławił się nieporównaną odwagą. Obaj Marylscy pochodzili z rodziny o mocnych tradycjach katolickich i narodowych. Józio zaczął z całą pasją „nawracać” ich na swój pacyfizm. Edek, pierwszy, uległ mu oświadczając, że istotnie „woli być stróżem nocnym niż żołnierzem”. Antek, bardziej odczytany i świadomy zagadnienia, zmobilizowany od początku wojny do armii rosyjskiej, który zetknął się już ze śmiercią i poznał postawę żołnierza rosyjskiego wobec losu wojennego, również uznał wtedy pacyfizm tołstojowski za swoje wyznanie. Dla Józia zdobycie tych dwóch adeptów stało się prawdziwym triumfem. Byli już trzej gotowi dać świadectwo prawdzie, co by się nie stało.

W drodze z Mińska do Bobrujska, we wsi Turyn, trzeci szwadron pod dowództwem rtm. Romera osłaniający tabory, został napadnięty przez oddział armii czerwonej, oraz chłopów z okolicznych wsi. Wywiązała się potyczka, dwaj koledzy pułkowi, Suzin i Nowacki, zginęli. Nastrój pułku zmienił się od razu, mściwa nienawiść w stosunku do napastników ogarnęła ułanów. We wsi, którą mijali, Józio zauważył rosnącego chłopca z narzuconym szynem wojskowym na plecach (zapewne jednego z masy dezertów zbiegających z frontu) i jego ponure spojrzenie: piękne konie, lance, amaranty, uzbroje-

nie — pańskie wojsko, obrońcy pańskiej ziemi chłopom obiecanej... I oto następuje spotkanie rosnącego chłopca z ułanem, który po krótkiej wymianie zdań trzasnął chłopca w twarz, dosiadł konia i ruszył dalej.

To zdarzenie stało się dla mego brata jednym z ważniejszych doświadczeń życiowych, krystalizujących ostatecznie jego decyzję, bo pomimo dwóch przeżytych rewolucji, mimo siedmiu miesięcy szkoły oficerskiej nigdy nie widział własnymi oczami człowieka bitego. Jego teoria pacyfizmu i ewangeliczne nadstawienie policzka, to był świat jego myśli, prawie tajnej, świat jego lektur i rozważań, daleki od rzeczywistości.

Zameldowawszy już w drodze swoją nieodwołalną decyzję por. Podhorskiemu (Marylscy uczynili to samo wobec swojego zwierzchnika, rtm. Zakrzewskiego), nie spotkali się ze strony dowódców z potępieniem ani sprzeciwem. Podhorski spytał jedynie Józia czy chce wstąpić do klasztoru, co by mu niejako tłumaczyło jego pacyfizm, na odmowną odpowiedź zamilkł. Rotmistrz Zakrzewski natomiast po dłuższym milczeniu zauważył: „Więc chcecie stworzyć nowe życie, na nowych zasadach...” a po chwili dodał: „Ja w waszym wieku też chciałem się wyłamać i sam także nowe życie zacząć”.

Spotkanie z dowódcą pułku, płk. Mościckim nastąpiło na ulicy w Bobrujsku. Pułkownik przyjął ich odpowiednio surowo, nie chciał słyszeć o żadnej pacyfistycznej ideologii i zapewnił, że dołoży wszystkich starań, aby zagrozić im wstęp do Polski niepodległej. „Włożyliście mundury, kiedy był spokój, wyrzucacie, kiedy się zanoszą na wojnę. Mam was za zwyczajnych tchórzów! Zabierajcie się!”

Więc ani rozstrzału, ani aresztu?

Wyłamali się z żelaznego prawa wojennego zgodnie z głębokim przekonaniem i nakazem sumienia. Byli wolni i za swoje czyny odpowiedzialni. Pośpiesznie zaczęli odpruwać wojskowe odznaki, amarantowe lampasy u spodni, i nocą, żydowskim wozem ruszyli do Mińska i Przy-

łuk. Drogę w krytym budą wozie i postój w żydowskiej karczmie pełnej zbiegłego z frontu żołnierstwa, zapamiętał Józio jako noc szczęśliwą, noc wyzwolenia.

Wyjaśnili nam motywy swego postępku i zamiar zapoczątkowania nowego życia wedle przykazań dekalogu, mimo wszystkie możliwe przeszkody i sprzeciwy. Józio nie robił żadnych planów na przyszłość, wierzył, że Bóg wskaże mu jego miejsce na świecie — to mu wystarczało.

W tym podniosłym, egzaltowanym nastroju spędziliśmy z nimi kilka dni nowego, 1918 roku, przyjąwszy bez zastrzeżeń ich decyzję i... dzieląc ich przekonania. Tołstojowska ideologia „nie sprzeciwiania się złu” wyszła od Józia, ale Edek, młodszy Marylski, pierwszy i samorzutnie ją przyjął, a Antek rozszerzył dążeniem do pełnej, Chrystusowej ofiary. Wykładał nam te swoje przekonanie w natchnieniu i urzekał nie tylko żarliwym słowem, ale też osobistym urokiem.

Wszyscy trzej pojechali do Wołczkiewicz do naszego opiekuna i proboszcza ks. Zelby; wysłuchał ich, nie dyskutował, pobłogosławił wzruszony ich dobrą wolą „Próbujcie — powiedział — z Bożą pomocą!”.

Najcięższa była przeprawa z naszym Ojcem. Nie mógł i nie chciał przyjąć argumentacji Józia. Głęboko przygnębiony powtarzał: „Moje biedne dziecko — jesteś dezercerem!”.

Wybrany na prezesa Komitetu Pomocy Wojsku Polskiemu zrzekł się tego zaszczytnego stanowiska — był ojcem dezercera...

Karla, dążąca zawsze najprostszą drogą do celu, której naturalną skłonnością było „wszystko albo nic”, poddała się całkowicie wpływom Antka.

Widzę ją opartą o kominek w salonie, zasłuchaną w jego wywody, już nieobecna i jak jej się zdawało — wyzwolona.

Prowadziliśmy długie rozmowy, ważąc decyzje na najbliższą przyszłość, pisaliśmy listy.

Rozczytani w Staffie przyjęliśmy pierwsze strofy jednego z jego wierszy za nasze hasło, nasze wyznanie wiary:

*Jest miasto tajne, skryte w mgle
w wieńcu ogrodów wiecznie młodej wiosny
idę ku niemu przez mroki i dżdże,
a krok mój lekki i śpiew mój radosny...*

Antek pisał do swego dowódcy i kuzyna rtm. Żółkiewskiego o zapoczątkowanym ruchu: „... oficerowie zrzucają mundury, księża sutanny”. Ten komunikat wzbudził we mnie i Józiu wątpliwości, ale sprzeciwić się Antkowi nie śmieliśmy, wiedział zapewne lepiej niż my.

W późniejszych latach zapoznając się z mistycznym okresem życia Mickiewicza zauważyłam, ile było podobieństwa w tym zawiązku naszego znikomego „ruchu” a początkami towiańszczyzny.

Mickiewicz pisał wtedy do Domeyki, profesora w Chile, aby wracał śpiesznie, bo w emigracji dzieją się wielkie rzeczy i „głucha wieść zaczyna iść na Paryż... mistrz wznosi trzecie piętro Kościoła, niższych nie burząc”.

I my sądziliśmy, z całą naiwnością, podobnie!

Nasza wiara zrealizowana w życiu miała świat odmienić...

W przeddzień ofensywy niemieckiej nasi tołstojowcy wyjechali do Piotrogradu, zewsząd zagrożonego i zagłodzonego, w którym mieli przyjaciół. My obie, Karla i ja, miałyśmy dołączyć, skoro tylko chłopcy znajdą tam jakiś punkt oparcia. Karłę dało się ledwie zatrzymać, chciała od razu jechać z nimi, nie rozstawać się, nie odkładać.

18 lutego 1918 roku Mińsk został zajęty bez boju, a Niemcy witani przez polską i katolicką ludność miasta, jak zbawcy po kilkumiesięcznym terrorze bolszewickim. 3 marca został podpisany traktat pokojowy w Brześciu. Warunki Niemców były nieubłagane.

W Przyłukach zmiana władz zaborczych odbyła się bez wstrząsu, komisarz w czarnej kurtce zniknął niepostrzeżenie. Gościnne pokoje zajęli oficerowie niemieccy, młodzi i dobrze wychowani. Obezwładniony chaosem rewolucji front wschodni był dla nich rodzajem urlopu po wciąż płonącym froncie zachodnim.

Śniegi już topniały, słońce grzało, rynny dzwoniły i jak w każde przedwiośnie nadzieja wstępowała w serce, nadzieja na koniec wojny, koniec zabijania, nadzieja wyzwolenia Polski i spełnienia naszych reformatorskich marzeń.

Karla, mimo coraz niebezpieczniejszych warunków dotarcia do Piotrogradu odciętego linią frontu, postanowiła jechać.

W latach wojennych 1916 czy 1917 roku zwieziono z Azji Środkowej półdzikich Mongołów do robót leśnych. Zwano ich Sarty, Sartowie. Czy praca ich była wynagradzana? Jak mieszkali? Czym żyli? Nie wiem! Wdzieliśmy ich z daleka, półnagich, przy wyrębie lasu, jedli podobno żaby i jaszczurki, chyba z głodu, mieszkali w szałasach... Niemcy zarządzili natychmiastową ewakuację tego niepewnego elementu. Zapędzani na stacje kolejowe i ładowani do bydłowych wagonów, byli odstawiani do Dniepru i przerzucani przez rzekę.

Do takiego to eszelonu nabitego Azjatami i aktywnymi komunistami, do jedyne go pasażerskiego wagonu wsiadła nasza siostra na wszystko zdecydowana. W krótkim futerku z czarnych źrebaków i szykownym, filcowym kapelusiku. Chronić ją miała opaska Czerwonego Krzyża i jakieś osteplowane zaświadczenie niemieckie. Była pełnoletnia, miała prawo rozporządzania sobą. Zatrzymać jej nikt nie próbował. Prośb Ojca, sprzeciwu całej rodziny, nie brała nawet pod uwagę. Ludzki konduktor umieścił ją w swoim służbowym przedziale i pomógł w Orszy przesiąść się do wagonu rosyjskiego, zatłoczonego żołnierstwem.

Poczta nie kursowała pomiędzy dwoma zaborami, ale

w warunkach powszechnego rozkładu każdy radził sobie jak mógł, wędrując z końca w koniec rozbitego imperium, z bronią w rękę, lub w pogoni zysku, handlując czym kto mógł. Mnóstwo ludzi przekraczało tę czasową linię demarkacyjną, szmuglując towary, przerzucając korespondencję. Chłopcy dojechali, wynajęli mieszkanie. Karla ich odnalazła.

Nasz falanster w Piotrogradzie

Wreszcie przyszedł i na mnie czas porzucenia wszystkiego, co było dotąd moim życiem. Pożegnałam dom rodzinny, i jakby ostatecznie, z bólem, 17-letnią Rózię. Musiałam połączyć się już z Józkiem i wspólnie stanowić o naszej przyszłości. Ojciec nie próbował protestować, może mu ulżyła myśl, że będziemy tam troje razem, bał się zapewne wpływu Marylskiego, nie pojmując nadal racji naszego zrywu.

Na wypadek głodu, czy choroby, wzięłam co się dało z biżuterii swojej i siostr, zaszywając to w kołnierz prostego kożucha. Z tych naszych panięskich klejnotów pamiętam tylko brylantowe serduszko na łańcuszku, sprzedane w chwili potrzeby za kilka papierków, zwanych „kierenki”, reszta też poszła na kartofle.

Bez przeszkód dojechałam do Orszy, gdzie odpoczęłam u pani Taube, byłej sąsiadki Mierzowa Łubieńskich i przekroczyłam, również bez przeszkód, granicę niemieckiego zaboru. Pociągi kursowały bez planu, zależnie od woli zdemobilizowanych żołnierzy, którzy zalegali stacje i terroryzowali maszynistów.

Znalazłam miejsce dla siebie i plecaka na górnej półce w korytarzu zatłoczonego wagonu.

Jakie miałam papiery? Chyba jakiś niemiecki *Ausweis*? Biletów nikt nie kupował, bo nikt ich nie żądał, zresztą nikt nie wiedział, czy pociąg dojedzie do miejsca przeznaczenia, w tym wypadku do stolicy.

W całym wagonie byliśmy tylko dwie kobiety: ja i starsza, bardzo mi życzliwa Żydówka. W poszukiwaniu zaginionego syna dążyła do Piotrogradu sądząc, że tam znajdzie jakiś ślad jego życia lub śmierci. Dzieliłyśmy z żołnierzami nasze zapasy żywności, droga ciągnęła się w niepewności, pełna bezterminowych postojów, wyładunków, napływu nowych pasażerów, w ścisiku, dymie machorkowym i nieskończonych dysputach politycznych.

Odnalazłam ich w Stolarnym Piereułku, w kilku odnajętych pokoikach, odstąpionych im przez panią Klawerową. Petersburg leżał jeszcze pod śniegiem. Po przebytych konwulsjach i przewrotach miasto zdawało się zastygłe w oczekiwaniu, oniemiałe, wyludnione, ulice puste. Sklepy zamknięte. Na gmachach publicznych wisiały ogromne płachty, pokryte futurystycznymi kompozycjami, głosiły rewolucyjne hasła. Zdzierane wichrem, ociekające farbą, łopotwały jak żagle. Od zachodu groziła stolicy dalsza ofensywa niemiecka. Pod Pskowem gromadziły się siły kontrrewolucyjne. Oczekiwano desantu angielskiego w zatoce fińskiej i kroków wojennych floty alianckiej z bazy archangielskiej. Od czasu do czasu dochodziły nas echa dalekiej kanonady. Skąd strzelano i do kogo? Nikt nie wiedział, nie było żadnej prasy. Lada dzień spodziewano się jakiegoś przewrotu, nieprzewidzianych wypadków. Władze bolszewickie przeniosły się do Moskwy. Nikt, nawet nasz mądry i politycznie doświadczony wuj Meyendorff nie wierzył w trwałość bolszewickiego rządu. Uważał jednak, że tę próbę trzeba by doprowadzić do końca i tą drogą kraj uleczyć od obłądy maksymalizmu. Kołczak, Dienikin, Wrangel tworzyli białe armie, wsie i miasta przechodziły z rąk do rąk, mnożyły się okrutne samosądy i masowe egzekucje.

Tak biali jak czerwoni mordowali i grabili sterroryzowaną ludność, krwawe samosądy na opornych, drańskich rekwizycje powodowały straszne klęski głodowe, wyludniające całe połacie kraju.

W Petersburgu znajdował się wówczas Karol Jaro-

szyński, genialnie pomysłowy finansista, wzbogacony na cukrowniach Ukrainy. Ukrywał się przed polującymi na niego czekistami, dzięki własnym „organom bezpieczeństwa” zawsze na czas ostrzegany przed aresztem lub rewizją.

Skupywał ile się dało akcji banków rosyjskich, licząc na przewrót i swoją wtedy finansową w Rosji wszechmoc.

Jaroszyński zainteresował się dziwnym „falansterem” na Stolarskim Piereułku. Zrazu proponował dostarczyć naszym tołstojowcom maszynę do pisania, sekretarkę (nawet kilka!), w celu zdefiniowania oraz szerzenia ich ideologii, ale tu zabrakło pomysłu, nawet Antkowi, sądził, że na to czas jeszcze nie przyszedł...

Bo też poza ułamkami wskazań ewangelicznych i tołstojowskich nie mieliśmy żadnego przygotowania filozoficznego. Niezachwianą jeszcze niczym wiarę i dyscyplinę praktyk religijnych, ale żadnych podstaw religioznawczych, żadnego pojęcia o mistykach i reformatorach. Żywoty świętych, których lekturę narzucała nam co rano panna Muré, nie otworzyły nam serca ani umysłu dla tego poznania, ale spowodowały nekające mnie całymi latami skrupuły.

Jaroszyński zresztą nie brał poważnie naszych ambicji reformatorskich, ale postanowił dać nam przeżyć. Józio i ja, bardziej realni, chcieliśmy dać czynem świadectwo naszej wiary, Karla i Antek byli zdania, że naprzód drogą modlitwy i ofiary należy zdobyć wiarę, co cuda czyni i dopiero wtedy iść do ludzi. Dziś — pisząc to, przypomina mi się znów Mickiewicz — mimo że nikt z nas, wtedy, nie znał wskazań z jego mistycznej epoki — kiedy o wczesnym świecie zbierał swoją zabiedzoną gromadkę wyznawców i żądał od nich świętości. Mieli stawiać opór światu realizacją prawdy w życiu, „wtedy dopiero — mówił — stary porządek upadnie, jak odpada kora z drzewa, kiedy w nie nowe wstępują soki”.

Nowe soki wstępowały w nas opornie, ale Antek

zwierzył się Józiovi, że czuł się powołany dopełnić Ofiary Chrystusowej...

Z polecenia wuja Meyendorffa, Józio zwrócił się do innego wuja, Jerzego Cziczera, wówczas komisarza spraw wewnętrznych w rządzie Lenina. Chodziło o stworzenie organizacji w duchu Czerwonego Krzyża, w celu opieki nad więźniami. Cziczera skierował naszego brata do niejakiego Pietrowa, zaznaczając, że to „kryształowa dusza”. Ale na tym stanęły próby naszej społecznej działalności, ulegliśmy presji Antka, nie chcąc odłączać się od niego, ani rozbijać naszego koła. Trzeba było jednak z czegoś żyć. Zresztą Antek pierwszy znalazł pracę jako stróż nocny. Odtąd spędzał całe godziny na mrozie, obchodząc nasz blok mieszkaniowy, znał wszystkich mieszkańców domu, pomagał gdzie mógł, rozbijał skamieniałe zasy śniegu i modlił się, klęcząc na śniegu.

„Antek — pisałam wtedy do naszej najstarszej siostry — co dzień bardziej odrywa się od świata, jesteście pewni, że będzie apostołem, który swoją ideę będzie pewnie słowami i czynem głosił światu, dużo się modli i żyje życiem ekstazy, jakaś święta siła bije z jego oczu i przekonanie niezachwiane z każdego słowa. Z nami rozmawia, tylko jak czuje, że potrzebujemy siły i podtrzymania i wtedy ma się zupełnie wrażenie, jakby to Bóg przez niego mówił”.

„Edek — stwierdziłam w tym liście — nie jest jeszcze tak wysoko, trzyma się Karli i cała ta trójka już nie widzi życia inaczej, jak w zupełnej abnegacji, absolutnym poświęceniu życia osobistego dla czystej Idei”. „My z Józioem tymczasem — pisałam — nie dorodziśmy do tego, cieszymy się szalenie zrzcuceniem więzów najgorszych kompromisów, swobodnym życiem, które sami sobie podług sumienia stworzyć możemy, ale dalszego kształcenia wyrzec się nie chcemy... ani miłości ziemskiej się nie wyrzekamy”.

Poza tym upewniłam siostrę, że o żadnych miłościach ani zakochaniach pomiędzy nami a Marylskimi nie ma

mowy! „Z radością znosimy tu głód i chłód i na wszystko jesteśmy gotowi...”.

Byliśmy jednak wszyscy troje Antkiem zafascynowani, on jeden się liczył, ale też nas niepokoił. Karla nosiła mu coś z naszego bardzo ubogiego, tyle że ciepłego jadła, na rozgrzewkę, nie przyjmował jednak tej usługi twierdząc, że nie potrzebuje już cielesnego pokarmu, nie czując głodu ani mrozu. Wyznał ponadto, że być może niebawem zdobędzie władzę czynienia cudów... ufaliśmy jego posłannictwu.

Nam obojgu wyznaczył Jaroszyński pracę w nowej, przez niego założonej bibliotece ekonomicznej, pod kierownictwem doświadczonego bibliotekarza, b. dyrektora Dumy Państwowej, pana Biełowa. Ludzie wyprzedawali się wtedy ze wszystkiego, a więc i z książek, należało tylko, mając fundusze, znać się na rzeczy. Pan Biełow po księgarniach i wyprzedazach skupywał odpowiednie książki, Józio chodził i znosił te książki do lokalu wynajętego na bibliotekę. Ja z pomocą Józia pisałam fiszki katalogowe.

Po pracy biegliśmy do polskiej kuchni studenckiej na Zabałkańskim prospekcie. Dawniej obszerna sala jadalna była gwarna i tłumna, bo kuchnia odżywiała młodzież studencką smacznie i wyjątkowo tanio z chlebem *à discretion*.

Za naszych czasów obszerna jadalnia była omal pusta, dawano nam niezmiennie kawałek koniny, twardy jak podeszwa, z łyżką rozgotowanej kaszy, zalanej jakimś podejrzanym olejem i — oczywiście — bez chleba. Zmiataliśmy to jedyne danie i spieszyliśmy do domu, ale nim się tam znaleźliśmy już głód nam doskwierał.

Ministrem aprowizacji był Józio. Na kartki dostawaliśmy raz na tydzień glon razowego chleba, dzieląc go na 5 osób wypadał na każdego kawałek wielkości dłoni i grubości 2-3 cm., zgłodnieli zjadaliśmy go na poczekaniu. W sklepach spożywczych można było dostać tylko śledzie z becзки i olej, chyba słonecznikowy, może jeszcze

coś było pod ladą sprzedawcy, ale to przekraczało nasze środki. Rano Józio chodził do kuchni harcerskiej, utrzymywanej również przez pana Jaroszyńskiego, gdzie mu dawano coś niby rosół wodnisty z odrobiną wermiszelu. Przynosił nam menażkę tej zupy do podziąłu, żadnego innego rannego śniadania nie było.

Co kilka dni Józio wychodził o świcie, nim jeszcze tramwaje ruszały, z pustym workiem i bańką na mleko, na dworzec kolejowy, gdzie tłum ludzi czekał na tzw. „mieszoczników”, czyli chłopów z bliższych i dalszych wsi, aprowidujących stolicę w kartofle: o mleko toczyły się formalne walki. Józiovi udało się raz tylko wyjechać kilka stacji na spotkanie przekupek i tam zdobyć trochę upragnionego mleka.

Karli powierzyliśmy porządki domowe i przygotowywanie posiłków. Kuchnia polegała na ugotowaniu, następnie obraniu kartofli (obieranie surowych było nieekonomiczne). Z zachowanych obierków lepiliśmy placki i piekliśmy na blasze. Do ugotowanych i tłuczonych kartofli kładło się obrane śledzie. Ale Karla uznała obieranie kartofli za czynność zbyteczną i stratę czasu, tłukła je nie obierane razem z nieoczyszczonymi śledziami. Wtedy zaprotestowaliśmy i nastąpiła zmiana kucharki.

W listach do domu usiłowaliśmy tłumaczyć bezwzględność Karli: Wyjechała z Mińska nie pożegnawszy się z Ojcem, uchodząc przed tą próbą, która by mogła zachwiać powziętą decyzją. „Ona sama najwięcej nad tym cierpi” — pisał Józio do Poldzi, naszej najstarszej siostry. — „Ona tak gorąco, jak żaden z nas, Boga prosi o wyzwolenie z własnego egoizmu, o wyjście zupełnie z siebie, żeby móc do ludzi podejść z miłością, i przez to ona jest tej chwili najbliższa”.

Wzorem dla niej, jak i dla nas, był Antek. „Wobec niego jesteśmy pyłem i prochem” — pisała Karla do najstarszej siostry.

Pewnego dnia dotarł do Marylskich list od rodziców z nakazem niezwłocznego powrotu do kraju. O powrocie

Antka, na razie, nie było mowy — postanowiono więc wysłać Edka, który miał rodzicom wytłumaczyć ideowe przyczyny ich wystąpienia z wojska, pobytu w Piotrogradzie i niejako przygotować grunt do naszego powrotu.

Ale ta delegacja nie odniosła skutków — Edek się nie odezwał do nas ani wtedy, ani później żadnym słowem, a następnie odsunął się całkowicie i nigdy już nie nawiązaliśmy z nim kontaktu, nigdy, do samej jego śmierci w 1944 roku, kiedy zginął zamordowany przez Niemców jako żołnierz AK.

Niedługo po moim przyjeździe do Piotrogradu zmieniliśmy mieszkanie. Chyba za pośrednictwem wujostwa Meyendorffów zaproponowano nam zajęcie pięknego pałacyku na ulicy Galernej, frontem wychodził na ulicę Nabieżną, biegnącą wzdłuż Newy, do placu Senackiego. Należało uchronić dom od rekwizycji, jako że był opuszczony przez właścicieli, pełen pięknych mebli i niezabezpieczonych kosztowności. Nie kusiły nas sale i salony tego pałacyku, zajęliśmy jedynie mansardowe pokoje górnego piętra, przeznaczone dla służby.

Zażywni jeszcze dozorca domu przyjęli nas nieco podejrzliwie ale nie wrogo, byli uprzedzeni, że pozostawionym ich pieczy kosztownościom nic z naszej strony nie grozi, dziwili się tylko skąd wylądowała u nich ta dziwna czwórka o szczególnym zachowaniu. Na wieczorne posiłki ustępowali nam swoją obszerną kuchnię wraz z naczyniem.

Heluta Wędziagolska

Nie wiem, stąd trafiła do nas wtedy Heluta Wędziagolska o męskim typie i pięknym, altowym głosie, uczennica piotrogradzkiego konserwatorium. Dawała Karli lekcje śpiewu. Karla była bardzo muzykalna, ale jej dźwięczny mezzosopran był źle ustawiony. Heluta próbowała temu zaradzić. Schodziliśmy się wszyscy do jed-

nego z dolnych salonów z fortepianem, Heluta śpiewała sama sobie akompaniując i tak w ciągu tego petersburskiego przedwiośnia, weszła muzyka w nasze życie. Następnie straciliśmy Helutę zupełnie z oczu. Wyszła dość późno za mąż za pana Tura i owdowiała niespodziewanie, na początku drugiej wojny, zostając z dwojgiem nieletnich dzieci, bez żadnego zabezpieczenia. Po tych długich latach spotkałam ją ponownie w nędznym, robotniczym mieszkanku na Ochocie, w wielkim niedostatku.

Walczyła z losem, pracując, gdzie i jak — nie pamiętam — aby utrzymać i wychować dzieci. Syn, kilkunastoletni, zginął w Powstaniu 1944 roku, córka jest dziś w Warszawie cenionym lekarzem. Heluta zmarła po długiej, ciężkiej chorobie pod jej opieką... Daleko odbiegłam w tych wspomnieniach od Piotrogradu 1918 i od naszej pięknej, ówczesnej śpiewaczki.

Wujostwo Meyendorff

Wujostwo mieszkali tej zimy i wiosny, jak i uprzednio, u siebie na Oziernym Piereułku, a wuj Aleksander z ramienia Czerwonego Krzyża zajmował się repatriacją wielotysięcznych rzesz jeńców i więźniów niemieckich, deportowanych w głąb Rosji i na Syberię.

Jego żona, Barbara, księżniczka Szerwaszydze, była Gruzinką. Jej ojciec, udzielny władca jednego z księstw kaukaskiej Gruzji, Abhazji, został pewnego dnia zaproszony przez cara Aleksandra II-go na wielkie polowanie. Książę siadł więc na statek ze sforą psów i odpowiednią ilością służby... ale nigdy więcej do swojej Abhazji nie wrócił. Po tym polowaniu car przeznaczył mu dobrze strzeżoną rezydencję, gdzieś pod Tułą, Abhazję zaś włączył do cesarstwa. Dzieci książęce, dwie córki i dwóch synów, oddano na wychowanie rodzinom spokrewnionym z carskim domem.

Ciocia była do końca życia bardzo piękna, wtedy już

siwowłosa, o wydatnych rysach, jasnej cerze i łagodnym wejrzeniu ciemnych, gruzińskich oczu. W młodości przeszła dramatyczne koleje losu, zakochawszy się w człowieku posądzonym, czy też winnym zbrodni i skazanym na trzy lata więzienia, a następnie na katorgę. Zerwawszy z całą rodziną, wyszła za niego za mąż i towarzyszyła skazańcowi na Syberię. Dopiero po latach, rozwiódłszy się z pierwszym mężem, poślubiła naszego owdowiałego wuja. Była o 10 lat starsza od niego, ale otoczona do śmierci najczulszą jego miłością i opieką. Dla nas miała ciocia macierzyńskie serce, lękała się o nas, zwłaszcza niepokoił ją nieugięty maksymalizm Karli i jej bezkrytyczne poddanie się wpływom Antka. Coś może z postawy naszej siostry wobec życia przypominało jej własną, zuchwałą młodość. Odwiedzaliśmy Wujostwo parokrotnie i Józio odważył się którego dnia zwrócić uwagę Cioci na to, że i ona w młodości przechodziła dramaty, z których jednak wyszła bez szwanku. I wtedy, powiada mój brat, zdarzyło się nigdy przezeń później nie doznane zjawisko: z oczu Cioci, dosłownie, trysnęły łzy, zakryła twarz rękoma i powiedziała: „Nie mów o tym, są cierpienia, które wysuszają duszę (*il y a des souffrances qui dessechent l'âme*)”.

Przed końcem 1918 roku Wujostwo opuścili Piotrogród i osiedlili się w Londynie, gdzie Wuj przez dziesięć lat wykładał na uniwersytecie Oxfordzkim ekonomię rolną Europy Wschodniej. Wuj umarł w wieku około 90-ciu lat w rosyjskim schronisku dla starców w Londynie, niewidomy, ale zawsze niezależny. Do końca zachował umysł żywy i chłonny, kostyczny zmysł humoru, zainteresowanie młodzieżą, życzliwość dla otoczenia. Do śmierci był naszym mądrym doradcą i przyjacielem.

Oboje Meyendorffowie pochowani są w nadmorskim cmentarzu w Plymouth, gdzie ze względu na łagodniejszy klimat spędzili ostatnie lata życia Cioci i gdzie Wuj dołączył do niej po śmierci.

Poczta pomiędzy zaborami — jak już pisałam — nie kursowała, ale były okazje, z których korzystaliśmy. Pewnego razu Antek powierzył mi długi list do Rózi, naszej najmłodszej siostry, którą poznał przelotnie w Przyłukach. Wszystkie listy tej „poczty” przeszły przez moje ręce, a list Antka zdał mi się tak piękny i tak znamienity, że dużymi fragmentami przepisałam go w moim Pamiętniku, odnalezionym w gruzach popowstaniowej Warszawy w 1945 roku. Wśród plam błota i wlepionego w papier pierza odczytuję co następuje:

„... Jeżeli w noc zwątpienia i tęsknoty duszy Twej, zawsze biednej... życie w stroskane wróci serce, wiedz, że to miłość weń wstąpiła. Bo życie to miłość, a głosem jej cierpienie, i gdy poczujesz, że dusza Twoja chciałaby zginąć, by innym z siebie ofiarę uczynić, to wiedz, że sięgasz już w nieskończoność... Gdy cię Życie unosi na swej fali i słyszysz powiew wiosny, czy bijące z Tobą jednym dźwiękiem i tętnem jednym serce — *memento mori*.

„Gdy głowa Twego ukochanego na Twoich piersiach leży, niech serce Twoje miłością przepełnione biegnie do Tego, któremu gorzka była napojem, a prosty krzyż życiem i śmiercią.

„I zbledną Ci usta miłości ziemskiej spragnione i skurczy Ci się serce przepełnione szczęściem i Szatan, co w miłość oblekł się, by posiąść i uspić Cię na wieki — odejdzie — i Bogu pieśń zanucisz. Bo nie będzie siły ziemskiej, ani piekielnej, która Twą duszę posiadzie, bo na dnie każdej ziemskiej rozkoszy ujrzysz krzyż, a na nim nagi trup Zbawiciela. Błogosławieni, co cierpią, bo snadź Bóg namazał ich czoła krwią ofiary, by dalej dzieło Chrystusa prowadzili. Strącaj pył ziemski z duszy, bo w zwodniczej jego tęczy mieści się zdrada i odstępstwo. Chciej odczuć chwilami, by Boga więcej wielbić, że wszystko jest grzechem i oczy Twoje cudnej przyrody spr-

gnione i uszy Twoje dźwięków miłości czekające i serce Twoje uczucia czystego tak łaknące — wszystko jest grzechem, *memento mori*. Niech Ci Krzyż będzie jedynym godłem, jedynym pragnieniem, jedynym pięknem, a miłość wówczas w obliczu śmierci zabłyśnie Ci z taką siłą, że świat cały ukochasz...”

Takiego to wyrzeczenia żądał Antek od 17-letniej Rózi, sam, jak sądził, przeznaczony na dopełnienie ofiary Chrystusa. Ale co mnie dziś uderza, to że głosząc ostateczne zaparcie się siebie, jego ekstremizm religijny był związany z nieuświadomionym erotyzmem i tym przypominał liczne sekty rosyjskie. Sekty o podobnych kierunkach, w których zdarzały się w Rosji fakty pojedynczego lub zbiorowego samobójstwa, sekty kastratów kaleczących się w imię umartwiania ciała dla wyzwolenia duszy. Ani my, ani Antek, wtedy, nie mieliśmy o nich pojęcia. Pisał o nich Rozanow w swojej książce pt. „Ciemne oblicze” (*Tiemnyj lik*). Józio poznał Rozanowa dopiero w roku następnym, za poradą Mereżkowskiego i wtedy dał nam go też poznać.

Ciemne promienie Chrystusowego Oblicza... to pustelnie pierwszych wieków chrześcijaństwa w piaskach afrykańskich, tysiące zakonów kontemplacyjnych o podwójnych kratkach klauzury i stopy inkwizycji...

Ten sam Chrystus, co rozgrzeszył Magdalenę i błogosławił pokój czyniącym, ten sam głosił: „Przyniosłem ogień na świat i tylko czekam, aby był zapalony”.

„Spojrzywszy uważnie w oblicze Chrystusa — pisze Rozanow — nie można nadal zajmować się sztuką, rodziną, polityką, nauką. Gogol spojrzał uważnie na Chrystusa — rzucił pióro i umarł”.

W Petersburgu 1918 roku przyjęliśmy wzorem Antka ciemne promienie Chrystusowego oblicza za obowiązującą nas drogę życia.

Wyspy Balaamskie

W 1938 roku, dwadzieścia lat później odwiedziwszy ciotki Nicolay i wujostwo Meyendorff w Monrepos pod Wiborgiem w Finlandii, wybrałam się z wycieczką krajoznawczą i dotarłam w lipcu do Wysp Balaamskich na jeziorze Ładoga. Uboga wegetacja budziła się zaledwie po dziesięciomiesięcznej zimie, lodowaty wiatr wzdymał fale jeziora. Jego część południowa z twierdzą Schlüsselburską należała do Związku Sowieckiego, część północna, z klasztornymi wyspami, do Finlandii. Dawniej liczne pielgrzymki z całej Rosji zdążyły na te wyspy skaliste, podobnie, jak na wyspy Sołowieckie u wybrzeży Morza Białego. Po pierwszej wojnie światowej klasztor odcięty od Rosji został zamieniony na hotel dla niezliczonych pielgrzymów z emigracji oraz turystów, przeważnie Niemców i Amerykanów, prowadzili ten hotel ostatni, długobrodzi mnisi Balaamscy.

Poza główną, klasztorną, Balaamską wyspą, było jeszcze kilka małych o równie ubogiej roślinności, gdzie nam pokazywano, dojeżdżając łodziami, siedziby zmarłych już pustelników: małe domki drewniane z jednym sprzętem, trumną. W niej eremici sypiali, w niej byli składani do grobu. O świcie co dnia odbywało się w cerkwi uroczyste nabożeństwo i resztki kościelnego chóru głębokim, cerkiewnym basem powtarzały inwokację „Hospodi, pomiluj”.

To ciemne Chrystusowe oblicze, które patrzyło na mnie groźnie spod kopuły cerkiewnej było to samo, co nas urzekło przed laty, pod wpływem Antka i które wydało swoje mistyczne owoce na kamienistych Wyspach Balaamskich.

Po wojnie sowiecko-fińskiej 1939-1940, prowincja Karelii została w całości włączona do Związku Sowieckiego, a klasztor Balaamski jest dziś — prawdopodobnie — zamieniony na więzienie, podobnie jak klasztory wysp Sołowieckich.

Komisja Likwidacyjna

Jednocześnie z ogłoszeniem w marcu 1917 roku przez Rząd Tymczasowy manifestu przyznającego Polsce, zjednoczonej z trzech rozerwanych części pełną niepodległość, została ustanowiona Komisja Likwidacyjna do spraw Królestwa Polskiego, z inicjatywy i pod przewodnictwem Aleksandra Lednickiego. Komisja ta miała złożone zadanie, bo poza likwidacją dawnych, między Rosją a Polską, stosunków prawno-administracyjnych, poza sprawami Kościoła Katolickiego w Rosji oraz przysłych granic Polski, były jeszcze do załatwienia sprawy Polaków, obywateli rosyjskich, zmobilizowanych do wojska rosyjskiego, jak również repatriacji uchodźców z 1915 roku, rewindykacji majątności polskich itp. Komisja Likwidacyjna została oficjalnie zniesiona po przewrocie bolszewickim, ale działała nadal pod firmą *Rady Ekonomicznej i Rozrachunkowej*. Papiery i zaświadczenia Komisji, następnie Rady, jako instytucji polskiej, zapewniały jeszcze pewne bezpieczeństwo wobec bolszewickiej Czeka i jej samowoli. Toteż mnóstwo Polaków figurowało na liście urzędników wtedy już fikcyjnej instytucji, w ich liczbie spowinowacony z nami Henryk Przewłocki. Henryk odwiedzał nas, odnosił się z sympatią do Antka i, przypuszczalnie, dzięki swoim stosunkom zamierzał w odpowiedniej chwili wyciągnąć nas z Rosji bolszewickiej, korzystając z niemieckich repatriacyjnych pociągów — co się też w końcu spełniło.

Załamanie Antka

Tymczasem nastąpił wypadek niespodziewany, dla naszej grupy katastroficzny. Antek ciężko zachorował. Posty i umartwienia zniszczyły odporność silnego organizmu. Załamał się fizycznie i równocześnie psychicznie.

Jego niezłomna wiara i duch apostołski przeszły w nekające go zwątpienie i głębokie przygnębienie.

Usiłowaliśmy go odżywiać, ale nie było jak. Antek stracił chęć do życia i wszelki apetyt. Wtedy ponownie przyszedł nam z pomocą Karol Jaroszyński, zabrał Antka do swojej willi — pałacu na Wyspie, gdzie chory pod stałą opieką lekarza miał wrócić do siebie. Nie było innego wyjścia.

Ale Jaroszyńskiemu już paliło się pod nogami. Śledzony, zagrożony aresztem musiał zniknąć natychmiast, porzucając całe swoje mienie w Piotrogradzie. Wyjechał z Antkiem jeszcze chorym — do Kijowa. Karla najboleśniej przeżyła to rozstanie bezterminowe i bez pożegnania, tę niepewność jego i naszych losów.

Mord Jekaterynburski

Kto w tym 1918 roku w zagłodzonym Piotrogradzie, w zrewolucjonizowanym imperium pamiętał o losach cara Wszechrosji, z którego imieniem na ustach tysiące i tysiące żołnierzy szło na śmierć? Kto pamiętał o carskiej rodzinie, o domu Romanowych? Jedynie poszczególne jednostki lub grupy wiernych i masowo emigrujących zwolenników caratu oraz topniejące, rozprzegające się i załamujące szeregi Białej Armii.

Po abdykacji w marcu 1918 roku, car z rodziną był przez pięć miesięcy więziony w pałacu Carsko-Sielskim. W sierpniu tego roku Kiereński, premier Rady Ministrów Rządu Tymczasowego, postanowił wywieźć cara z całą rodziną na Syberię¹, gdyż zachodziła obawa, że jego obecność tak blisko stolicy może spowodować zamachy lub manifestacje. W Tobolsku dowiedział się Mikołaj II

1. W *Pamiętnikach Wielkiej Wojny*, pracy zbiorowej wydanej przez Michała Sokolnickiego w 1925 roku, Sokolnicki twierdzi w przypisie, że rodzina carska na Syberii była finansowana, między innymi, przez Karola Jaroszyńskiego, za pośrednictwem byłej damy dworu carowej — Wyrubowej.

o przewrocie bolszewickim, o haniebnym dla Rosji pokoju Brzeskim, ale także o tym, że admirał Kołczak tworzy białą armię na Syberii, armię wyzwoleńczą.

W kwietniu 1918 roku została rodzina carska raz jeszcze wysiedlona na rozkaz Moskwy z Tobolska do Jekaterynburga, bliżej Uralu. Przeznaczono im dom bogatego kupca Ipatiewa, ogrodzony od ulicy wysokim, zbitym z desek płotem, poza który nikt nie mógł wyjrzeć z domu, ani do niego wejrzeć. Dozorców dobierały władze spośród robotników okolicznych fabryk, często zmieniani nie szczydzili więźniom upokorzeń, mając prawo wchodzić do pokojów carskich o każdej porze dnia i nocy i jadać posiłki wspólnie z więźniami. Do końca, czyli do wspólnej śmierci, zostali im wierni lekarz dworu dr Botkin, oraz trzy osoby ze służby: Anna Demidowa, Trup, Charitonow.

Szła wiosna syberyjska, wybuchająca znienacka zmarłych przyrody. Pękające na Irtyszu lody grzmiały jak salwy armatnie, lud okoliczny śpieszył nad rzekę, by obejrzeć zwały kry spiętrzonej. Ptaki wędrowne ciągnęły kluczami.

Widywano niekiedy rodzinę carską, jak siadywała w słońcu na gzymsie dachu ogrodzonego domu, wieczorami księżniczki śpiewały pieśni nabożne, carewicz chorował, leczyć go, ratować, nie było jak.

Minęła wiosna, nastąpiło lato.

16 lipca komisarz Jakowlew przybył z Moskwy z wyrokiem śmierci dla carskiej rodziny. W nocy z 17 na 18 lipca kazano więźniom ubrać się pod pretekstem przewiezienia ich do jeszcze innego maista, następnie wszyscy, w ślad za komisarzem zeszli do izby suterenowej, cesarz niósł na rękach chorego syna. Za komisarzem szło dziesięciu uzbrojonych ludzi. Wtedy Jakowlew oznajmił cesarzowi, że w Moskwie zapadł wyrok śmierci na niego i jego rodzinę, po czym zastrzelił cara na miejscu. Na ten sygnał wybuchła strzelanina, kładąc trupem resztę więźniów. Przed świtem krótkiej nocy lipcowej załado-

wano pośpiesznie jedenaście zwłok na ciężarówkę i wywieziono do pobliskiego lasu, gdzie zostały spalone. Wywiad zarządzony kilka miesięcy później przez admirała Kołczaka pozwolił odtworzyć warunki i przebieg mordu. W popiołach leśnej polany znaleziono cyfrę z epoletu cesarza, perłę z kolczyka carowej i kilka drobnych klejnotów księżniczek. Nazajutrz po mordzie Jekaterynburskim, resztę członków domu Romanowych, więzionych w pobliskim miasteczku Alepajewsk, spotkał ten sam los, w ich liczbie siostrę carowej, Elżbietę. Zwłoki pomordowanych wrzucono do szybu nieczynnej kopalni węgla, gdzie zostały następnie odnalezione i zidentyfikowane.

Rewolucja dokonała swego dzieła. Cesarz Wszechrosji, symbol samowładztwa i omal cały dom Romanowych, zostali zgładzeni.

Przejęci odmianą świata i własnych losów nie oglądaliśmy się wtedy na wysiedloną na Syberię carską rodzinę. Wielkie księżniczki: Tatiana, Olga, Maria i Anastazja, nasze rówieśniczki, stały, jak i my, na progu życia.

Lody na Irtyszu pękały. Armia Kołczaka zbliżała się niosąc im wyzwolenie... Ale nie spełniły się nadzieje ich skrzywdzonej młodości, a sprawdziło się proroctwo syberyjskiego chłopca: „Kiedy poznacie mój kraj — koniec Wasz będzie bliski”.

Pomiędzy frontami

Od początku zimy 1917 na 1918, 1-szy korpus Dowbora Muśnickiego stacjonował w Bobrujsku i jego okolicach, część 1-go pułku Ułanów Krechowieckich zakwaterowała się we wsi Łazarewicz, rozłożonej wzdłuż Dniepru. Na przeciwległym brzegu byli bolszewicy. W maju 1918 roku Niemcy zarządzili rozwiązanie Korpusu, oraz innych wojskowych polskich formacji, i ich

rozbrojenie. W 1-szym pułku ułanów, stworzonym do walki z Niemcami, pułku, który w tych walkach przebył już cztery lata — zawrzało. Złożenie broni na rozkaz niemiecki zdawało się być czynem hańbiącym. Na oficerskim zebraniu rozważano różne rozwiązania, nie znajdując na razie wyjścia z kleszczy obu wrogich polskiemu wojsku sił.

Jednocześnie rozeszła się w pułku wiadomość o śmierci Maurycego Wańkowicza, serdecznego kolegi i przyjaciela naszego brata Stasia. Nikt zrazu nie wiedział, gdzie Moryś zginął i jak, dopiero później jego siostry, a następnie nasze, dowiedziały się o przebiegu wypadków.

Epizod w Łazarewiczach

Stasia widziano na pogrzebie Morysia w Bobrujsku. Był zdrow, tyle że mocno pobity.

„Przeszedłem straszne chwile — donosił krótko siostrze — dzięki Bogu, że żyję, więcej pisać nie mogę, może być że wobec wypadków prędko wrócę do domu”.

W Bobrujsku Staś mieszkał u Wańkowiczów i chyba dzięki jednej z sióstr Morysia relacja tej nocy zachowała się w liście siostry Lili do najstarszej naszej siostry Łubieńskiej, który poniżej streszczam:

„Stało się to w nocy z 18-go na 19-go maja. Dwa plutony 1-go Pułku Ułanów zajęły kwatery we wsi Łazarewice nad Dnieprem, koło starego czy nowego Bychowa. Na przeciwległym brzegu rzeki stali bolszewicy. Żołnierze pomęczeni zajęli chatę na skraju wioski i znaleźli tam pianino, zawleczone tu z któregoś zrabowanego dworu i Staś do późna grał na tym pianinie. Około drugiej obudziły ich z pierwszego snu krzyki i strzały. Na tle jaśniejszego kwadratu okna sterczały lufy skierowane na łóżko, na którym spał Staś z Heniem, strzały były gęste, nikogo nie trafiały, szły za wysoko, ale też nikt

z chaty nie mógł się wydostać. Wtem ktoś krzyknął *brasaj bombu* — nastąpił silny wybuch, na szczęście bomba nie wpadła do chaty, a wybuchła na zewnątrz i wtedy siedmiu bolszewików wpadło do chaty, wypchali naszych z izby, pod ścianę i zaczęli ich bić kolbami. Rostropowicz uderzony w głowę upadł, wtedy mu lufę przystawili do głowy i strzelili, ale kula ześliznęła się po czaszce. Stasia ratował wzrost, bili go po barkach i ramionach, omal do głowy nie sięgając. Wtedy Moryś powiedział, żeby odsunąć chwilę śmierci: *dajcie odietsia*, po czym zapędzili ich znowu do chaty, rzucili się na broń, mundury, aparat fotograficzny, i na chwilę, spierając się o tę zdobycz, zapomnieli o swoich jeńcach. Staś na czworakach wypętlął z chaty i z Heniem, który się ocucił, skoczyli za węgiew. Co robić? Pamiętali fortel Skrzetuskiego... szuwarami... wpływ... rzeką, do następnej wioski? Ale Henio nie podoła, zbyt słaby... przesunęli się ku stajni... spłoszone konie zaciągnęły węzły kantarów, nie sposób odwiązać, a Henio broczy krwią. W drugiej stajni konie nie uwiązane... dosiedli bez uzdy, w bieliźnie... konie ostre, nieujeżdżone — zrozumiały, przeskoczyły płot, dały się kierować i jak strzały ruszyły w stronę lasu. Kulomiot bolszewicki stał na środku wioskowej ulicy i kiedy bolszewicy zobaczyli dwie uciekające białe postacie, zaczęli strzelać. W deszczu kul Staś i Henio dopadli lasu, Henio został tylko lekko ranny w nogę. W następnej wiosce stała nasza piechota, tam ich ogarnęli. Bolszewicy cofnęli się biorąc jeńców i dwa kulomioty — już było po bitwie. Ale Staś i Henio na innych koniach wrócili do wioski — na środku drogi leżały skatowane zwłoki Morysia. Tam odbył się pogrzeb tej ostatniej ofiary bolszewików z 1-go Pułku Ułanów, w sam dzień rozwiązania korpusu. Niemcy nawet nie pozwolili dać salwy nad grobem — pułk był w zasadzie rozbrojony”.

Rozbrojenie Korpusu

Rozwiązując Korpus Dowbora Niemcy zagarnęli ogromne składy zgromadzone w twierdzy bobrujskiej, zapasy amunicji, broni, odzieży, żywności i to, o co im szczególnie chodziło — około 30 tysięcy koni, w ich liczbie te najlepsze wtedy w Europie, ze stadniny Antonińskiej, Sławuckiej, a także tyle najpiękniejszych prywatnych wierzchowców.

Generał Dowbór przyjął ostatnią rewię, a trębacze po raz ostatni odegrali: *Jeszcze Polska nie zginęła*.

Próba zamachu w celu poderwania niektórych oddziałów do walki (chwilowe aresztowanie generała oraz niemieckiego komendanta przez zbuntowanych oficerów) spaliła na panewce. Zbrojny opór wobec siły niemieckiej mógłby się stać jedynie manifestacją lub dalszym przelewem krwi na marne. Dowbór-Muśnicki kierował się zimnym rachunkiem sztabowca.

Korpus złożył broń i oddał Niemcom cały swój materiał wojenny.

Czym było dla polsko-białoruskiej ludności naszego kraju rozbrojenie I-go korpusu Dowbora i niepewność dalszych losów, między dwoma frontami, jaka była nadzieja na wskrzeszenie Polski, jakie oczekiwanie polskich sił zbrojnych w 1919 roku — dowiadujemy się od świadka tych wydarzeń, żołnierza i syna tej ziemi, Floriana Czarnyszewicza, z jego pięknej książki zatytułowanej „Nadberezyńcy”, książki powstałej z wielkiej tęsknoty za krajem ojczystym a pisanej w chwilach wolnych od ciężkiej pracy w rzeźniach argentyńskich.

Całą nadzieję na zachowanie swoich strzech i swoich kościołów, całą wiarę w przyszły, sprawiedliwy ustrój społeczny pokładali ci prości ludzie w odradzającej się Rzeczpospolitej.

Czarnyszewicz opisuje w tej powieści wystąpienie delegacji szlachty zaściankowej zza Berezyny, w którym sam autor najprawdopodobniej brał udział, delegacji do

generała Konarzewskiego, dowódcy frontu wschodniego w 1919 roku. Sztab generała mieścił się w Bobrujsku, jak poprzedniego roku sztab generała Dowbora. Delegaci przez usta najstarszego i najbardziej zasłużonego spośród nich prosili generała w prostocie swej, by raczył przyłączyć ich ziemie do Polski aż po Dniepr „bo to przecie — podkreślali — ziemie polskie...”. Próżno generał tłumaczył nadberezyńcom, że sprawa granic Polski nie od niego zależy, że Kraj jest jeszcze zagrożony ze wszystkich stron i że ludzie również zza Dniepru o przyłączeniu do Polski proszą...

„Ludzie zza Dniepru? — zdziwił się delegat — również proszą się?... A jest chociaż nadzieja, Panie Generale, że doczekamy się?

Nie doczekali się. Traktat Ryski, dwa lata później, odciął ich ostatecznie od Polski, skazując wielotysięczną polską i katolicką ludność wschodniej Białorusi na grozę bolszewickiego terroru, aresztów, śledztw, egzekucji, zsyłek, katongi.

W wyniku szeregu oficerskich narad w 1-szym pułku Krechowieckim, wiosną tegoż 1918 roku postanowiono, że część oficerów i ułanów pozostanie na Wschodzie, aby tam utrzymać czynne pogotowie walki z Niemcami. Pozostali wrócili do kraju, tworząc tajną organizację systemem piątkowym. Demobilizacja miała więc być tylko pozorna, a najlepsze siły bojowe, siły polskiego oporu, obustronnie zagrożone, miały zejść pod ziemię.

Na czele tego tajnego ruchu stanął rotmistrz Bronisław Romer. Miał przeprowadzić oddział ułanów w rozproszeniu do bazy sił koalicyjnych w Murmańsku i nie dopuścić do przerwania ciągłości istnienia Pułku.

Liczni oficerowie i około 200 podoficerów i ułanów mieli się gromadzić po dworach w okolicach Dyneburga i Kijowa. W Dyneburgu akcją miał kierować Romer. Inflanty były jego krajem rodzinnym. W Kijowie — Zygmunt Podhorski, rodem z Ukrainy.

Kiedy więc tamtego jesiennego wieczoru w Dukorze, Broniek i Zaza, bo tak ich wszyscy nazywaliśmy, radzili przy blasku świec, rozważali zapewne zagrożenie pułku, sposoby jego utrzymania, oraz własną, za ów 1-szy pułk Ułanów Krechowieckich odpowiedzialność.

Od chwili rozbrojenia korpusu kilka miesięcy jedynie dzieliło Bronisława Romera od kuli czekisty. Podhorskiemu pozostawały długie lata służby, stopień generalski, druga wojna, nowa klęska i gorzki los emigranta w Londynie.

Część czwarta

POLSKA POWSTAJE

Powrót do Kraju. Warszawa

Po nagłym zniknięciu Jaroszyńskiego z Antkiem pozostanie nasze w Piotrogradzie, bez określonego celu i bez środków do życia, niczym się nie tłumaczyło.

Ojciec nasz ciężko zachorował i wzywał nas do powrotu. Henryk Przewłocki, do czasu zabezpieczony papierami likwidującej się Komisji Likwidacyjnej, zajął się naszą repatriacją. Jedyne w Polsce mogliśmy znaleźć pole do działania i środki do życia, tylko w kraju odnaleźć Antka. Władze sowieckie nie ułatwiały repatriacji, chcąc zatrzymać jak najwięcej Polaków wyrzuconych z kraju w ciągu wojny, uchodźców, żołnierzy demobilizowanych i jeńców z armii niemieckiej i austriackiej, zatrzymać z zamiarem włączenia polskiego elementu do czynnego współdziałania ze zwycięską rewolucją. Był nawet projekt stworzenia separatywnego rządu polskiego na emigracji oraz formacji wojskowej pod czerwonym sztandarem. W tych zabiegach czynną rolę grał Stefan Heltman, ten sam, którego znaleźliśmy jako członka Zarządu Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny w Mińsku, ideowy komunista, o zimnym spojrzeniu jasnych oczu. Heltman miał stanąć na czele projektowanego emigracyjnego rządu polskiego w Rosji, mającego stanowić przeciwwagę Rady

Regencyjnej, stworzonej w Warszawie przez Niemców. Heltman działał na terenie Mińska bolszewickiego w 1917 roku na czele Komisariatu do Spraw Polskich i jako wydawca czasopisma *Polska Prawda*. W okresie „czystek” w latach trzydziestych usunięto go ze wszystkich zajmowanych stanowisk, szkalowano długi czas w prasie jako polskiego nacjonalistę, nim skazano na śmierć. Zarzucano mu m.in., że do tytułu pisma *Prawda* dodał *Polska*, co miało odróżnić mińską *Prawdę* od *Prawdy* wydawanej po rosyjsku w Piotrogradzie. Tłumaczenie Heltmana uznano za typowy wykręt polskiego szowinisty. Heltman zginął w Rosji około 1936 roku. Pozostało nam wspomnienie milczącego uczestnika posiedzeń zarządu Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny i spojrzenie jego białych oczu fanatyka¹.

W Rosji anarchia, nieprzewidziane zrywy armii samozwańczych czerwonych i białych, rabunek wsi, paraliż sieci kolejowej, klęska głodowa. Pod okupacją niemiecko-austriacką — pogotowie. Podziemna Organizacja Wojskowa (P.O.W.) tworzy kadry przyszłego wojska. Przystąpienie do wojny Stanów Zjednoczonych przesądziło jej wyniki.

Piłsudski odmówił przysięgi na wierność państwom centralnym. Legiony poszły jego śladem, nastąpiła fala aresztowań. W lipcu 1917 Komendant i jego Szef Sztabu Sosnkowski zostali internowani i osadzeni w twierdzy Magdeburgskiej.

Wracając do Polski byliśmy zupełnie nie zorientowani w złożonych problemach politycznych pod obu zaborami, ani w nastrojach kraju zwodzonego obietnicami okupantów. Klęska Niemców zdawała się bliska, ale Polskę i cały kraj zabużny, aż do Dniepru, trzymali jeszcze Niemcy

1. Wacław Solski: *Moje wspomnienia*. Paryż, Instytut Literacki, 1977, powołuje się na pracę Andrzeja Slisza: *Prasa polska w Rosji w dobie*

mocno w rękę, nie cofając się przed krwawymi represjami przy każdej próbie wyzwolenia.

W końcu maja opuściliśmy wyludniony Piotrogród, miasto w którym postawiliśmy pierwsze kroki naszej samodzielności. Na pięknych „Wyspach” w parkach opustoszałych will i pałaców kwitły już kasztany.

Na twardych ławkach trzeciej klasy roztrzęsionych wagonów pociągu repatriacyjnego dojechaliśmy do Pskowa — granicy okupacji niemieckiej, tu miało się odbyć odwzajemienie wszystkich pasażerów. Nam jednak niemiecka służba sanitarna zaufała i bez żadnych ceremonii przerzucano nas z szerokotorowej kolei rosyjskiej na normalną kolej niemiecką.

Nie pamiętam też, gdzie wylądowaliśmy wtedy w Warszawie, ale pamiętam, że zawsze pod opieką Henryka Przewłockiego, znaleźliśmy się w kawiarni Ziemiańskiej na Mazowieckiej i mocno wygłodzeni uderzyliśmy na warszawskie ciastka.

Od razu podjęliśmy starania o dowody osobiste i przepustkę do Mińska, który leżał już w strefie przyfrontowej.

Pierwszą protekcją, po którą sięgnęliśmy, był stryj Bogdan Czapski, a następną prałat Chełmicki, wydawca wielotomowej Encyklopedii Kościelnej, przyjaciel naszych rodziców, częsty gość w Przyłukach, a wówczas sekretarz Rady Regencyjnej. Bogdan Hutten-Czapski, daleki nasz krewny, bezdzietny kawaler, przydzielony do osoby generała gubernatora Beselera, był rektorem Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki, uczelni zamkniętych po Powstaniu Styczniowym, a otwartych i czynnych pod okupacją niemiecką. Struja Bogdana nie znaleźliśmy osobiście, słyszeliśmy tylko o jego głębokim zniemczeniu.

Mimo, że pochodził z dalszej linii Czapskich, był zadziwiająco podobny do naszej rodziny, szczupły, o twarzy podłużnej, o garbatym, cienkim nosie i blisko umieszczonych oczach, siwy, ze śladami rudości w zaroście i cerą czerwonawą, właściwą rudym.

Stryj słyszał już o wystąpieniu z wojska Józia i uznał

to za dezercję, czyn haniebnym, zapowiedział też zawczasu, że bynajmniej nie zamierza mu pomóc w powrocie do kraju: „Prędeż mi włosy wyrosną tu — wykrzyknął wskazując na swoją dłoń — niż bym go do Warszawy miał wpuścić”. Tę jego opinię powtórzono nam dopiero później, zgłosiliśmy się więc do niego z pierwszą wizytą z dobrą miną i ciekawym przyjęciem.

Bogdan Hutten-Czapski (1851-1937) był synem Józefa Napoleona Czapskiego (1797-1852) o burzliwej karierze rewolucjonisty, z którego nazwiskiem spotkałam się dopiero później, w korespondencji Karola de Montalambert. Pisał o nim jako o *célèbre révolutionnaire*.

Józef Napoleon, rewolucjonista i karbonariusz, był w rodzinie pryncypialnie przemilczany, a był człowiekiem niepospolitym. Jako nieślubny syn Józefa, generała W.P., przez rodzinę nie uznany, wydziedziczony z dóbr ojcowskich, pozbawiony szlachectwa i tytułu, przybrał imię Napoleon i podpisywał się *Chłop Czapski*. Od lat najmłodszych pod różnymi pseudonimami: Bonnet, Chapman, O'Brien przemierzał Europę wspierając każdy ruch rewolucyjny, czy to Włoch, czy Francji, Niemiec czy Irlandii, wciąż tropiony przez policję różnych krajów — zawsze nieuchwytny.

Wyznawca skrajnego rewolucjonisty francuskiego Filipa Buanorottiego (1761-1837), przyjaciel i towarzysz walk bohatera Irlandii O'Conalla i bohatera Włoch, republikanina Mazziniego, ożenił się w 1850 i umarł dwa lata później, zostawiając syna Bogdana. Stryj odebrał wychowanie na wskroś kosmopolityczne. Jego matka, z Mielżyńskich, kształciła go w szkołach szwajcarskich, w Paryżu i Rzymie. Przez swoje stosunki utorowała mu drogę na dwór pruski i zdobyła zaufanie Watykanu. Ukończywszy szkołę kadetów w Berlinie, dosłużywszy się stopnia majora, przeszedł na służbę dyplomatyczną.

Zdobycie Warszawy w sierpniu 1915 roku i przydzielenie go do osoby generała gubernatora Beselera związały Czapskiego do końca wojny ze sprawami polskimi. Po

wskrzeszeniu państwa polskiego, jako właściciel znacznych dóbr w Poznańskim, przyjął obywatelstwo polskie i jako legalista uznał się Polakiem. „Nie mogłem być Polakiem — tłumaczył się — kiedy nie było państwa polskiego”.

Stryj przyjął nas łaskawie, sprawy drażliwej nie poruszał, wyrzutów nie czynił, rozmowa zesła zaraz na sprawy polityczne, Józio rozpytywał stryja o stosunki polsko-niemieckie, o kryzys legionowy, a zwłaszcza o Piłsudskiego, ciekaw co też stryj sądzi o postaci nieznanego nam jeszcze wtedy Komendanta.

Czapski aż się zachnął, tak mu wspomnienie tego człowieka było nieznośne. Bo też chyba nie mogło być osobowości bardziej sobie przeciwnych.

„To człowiek niepoczytalny — wykrzyknął piskliwym głosem, irytacją jeszcze zaostrzonym... Ja z Piłsudskim już mówić nie zamierzam. Chciałem przeprowadzić z nim pertraktację w sprawie przysięgi legionowej, a Piłsudski mi na to: 'Ja jestem legendą...'. Czy z takim człowiekiem można poważnie mówić?”

Ta wypowiedź twórcy legionów bardzo nas zastanowiła, a stryj ciągnął dalej: „On umie działać tylko w konspiracji, rozmawiać spod stołu” — i wskazał na czerwony dywan pod stołem, przy którym siedzieliśmy.

Nie wiem, czy stryj, czy ks. Prałat Chełmicki, wstawili się za nami gdzie było trzeba, bo Kennkarty, czyli dowody osobiste, dostaliśmy prędko, ale na przepustkę do Mińska zależną od władz wojskowych, czekaliśmy kilka tygodni. Nasz pośpieszny wyjazd do Rosji, w chwili, kiedy Niemcy zajmowali Mińszczyznę, wyglądał podejrzanie, toteż nasze dowody osobiste zaopatrzone były w znaczek, później dopiero rozszyfrowany, świadczący o czujności niemieckiego wywiadu.

Korzystając z czasu, postanowiliśmy dotrzeć do Janusza Korczaka, którego pisma tak zaważyły na naszej świadomości społecznej. Od jego wydawcy, Jakuba Mortkowicza, dowiedzieliśmy się, że Korczak jest lekarzem, że

nazywa się Henryk Goldszmidt i mieszka przy ulicy Wielkiej. Przyjął nas w ciemnym gabinecie o jednym oknie, wychodzącym na ciasne podwórze, mały człowieczek w średnim wieku, o rudym, przeredzonym zaroście i smutnym spojrzeniu niebieskich oczu krótkowidza. Wyjaśniliśmy mu cel naszej wizyty, czyli chęć wyrażenia mu naszego podziwu dla jego pisarstwa i wdzięczność za *Dziecko salonu*, usłyszeliśmy w odpowiedzi, z wielkim żalem, że ta książka jest mu już obca, że nie zajmuje się już literaturą a obchodzi go dziś wyłącznie zakład wychowawczy dla dzieci żydowskich przy ul. Krochmalnej, „Dom sierot”, którego jest założycielem i kierownikiem. Prosił odwiedzić go na Krochmalnej, gdzie chętnie pokaże nam zakład i zaznajomi z jego systemem wychowawczym.

To było moje pierwsze osobiste spotkanie z Korczakiem, a potem nastąpiły inne, w jego domu sierot i w sierocińcach pani Falskiej, aż po ostatni, w końcu 1941 roku, 23 lata później, w getcie warszawskim, na kilka miesięcy przed śmiercią jego i dwustu dzieci z całym personelem zakładu.

Karla nie chciała z nami jechać do Mińska, czekała powrotu Antka — to jedno wtedy dla niej się liczyło. Ruszyliśmy więc we dwoje tą samą brzesko-moskiewską drogą kolejową, co przechodziła o jakieś półtora kilometra od przyłuckiego parku i była celem naszych letnich spacerów.

Od skrajnego tołstoizmu i pacyfizmu, od naszego wyłamania się z norm obowiązujących, co tak boleśnie ojca naszego dotknęło, od buntowniczego wyjazdu do bolszewickiego Piotrogradu sprzed pół roku zaledwie — po powrocie do kraju, nie wyrzekając się naszej ideologii postanowiliśmy zrealizować dalszy etap naszej drogi. Już nie „zbawiać świat”, ani zakładać sektę niesprzeciwiania się złemu, ale samych siebie dopełnić, dokształcić.

Ojciec przyjął nas tak, jak ojciec biblijny syna marno-

trawnego, samą dobrocią i hojnością, zgodził się bez zastrzeżeń na dalsze nasze plany: powrót do Warszawy i podjęcie studiów: Józio na Akademii Sztuk Pięknych, ja na Uniwersytecie.

Likwidacja korpusu Dowbora-Muśnickiego była w toku. Siostry Lila i Różia pojechały do Bobrujska pożegnać się z przyjaciółmi, oficerami 1-go pułku. Nastrój w Bobrujsku był tragiczny.

Oficerowie nie chcieli rozstawać się z końmi i oddawać je Niemcom. Zaskoczeni zarządzeniami demobilizacji, obezwładnieni siłą bolszewicko-niemiecką, nie widzieli jutra, nie wiedzieli dokąd pójść.

Pożegnanie Domu

Staś i jego kolega Henio Rostropowicz, zdemobilizowani, zjechali do Przyłuk, dokąd dojeżdżali inni koledzy pułkowi i Wańkowiczówny, siostry zamordowanego Morysia.

Dom nasz ogołocony z cenniejszych mebli i obrazów „zabezpieczonych” w Mińsku, był jeszcze dobrze zaopatrzony dzięki opiece wiernych domowników, a majątek, z woli Ojca, mimo czasów niepewnych zagospodarowany.

Nastała pełnia lata. Lipy kwitły, nocami hukwały przeciągle sowy. Po roziskrzonym niebie leciały gwiazdy. Trzeba było pomyśleć jakieś życzenie, nim zgaśnie światłana smuga. Staś przy fortepianie śpiewał cygańskie romanse, znaliśmy je z płyt ulubionych pieśniarek Paniny i Wialcewy, albo żołnierskie piosenki — *Rozkwitały pęki białych róż, A gdy poszedł Stach na wojnę...*, *Ułani, ulani...*

Henio zakochany w Rózi pisał wiersze. Klęska korpusu, towarzysze polegli, niepewność losów kraju i własnego losu splotała się tego romantycznego lata, ostatniego

lata w Przyłukach, z ich bujną i, jak każda, ufną w przyszłość młodością.

My oboje, nie włączeni w ich zżytą gromadkę, czuliśmy się gośćmi w domu rodzinnym. Zdobywszy niezależność i zgodę Ojca, śpieszno nam było do nowego życia.

Cała Polska, Litwa i Białoruś były w rękach niemieckich, Niemcy posuwali się jeszcze w głąb Ukrainy, licząc na jej zbiory. Co miało się stać z naszym krajem po przewidywanej i bliskiej ich porażce, wobec zaborczych zamiarów czerwonej Rosji, tego nikt nie mógł przewidzieć.

Z okien wagonu mignął nam jeszcze szczyt domu w gęstwinie drzew i nasz czerwony kościół w Wołczkiewiczach, pod wezwaniem Serca Jezusowego, z woli Matki naszej wzniesiony już po jej zgonie, u jego stóp pochowanej.

Przyłuki miały niebawem stać się domem wypoczynkowym im. Róży Luksemburg, dla państwowych urzędników Mińska, stolicy sowieckiej Białorusi, a kościół Wołczkiewicki niszczał przez długie lata, aż po zapadnięcie się dachu, został zapewne rozebrany na budulec. Żegnaliśmy kraj lat dziecinnych na zawsze.

Misja petersburska mego brata

W Warszawie zapisałam się bez zwłoki na Uniwersytet, jako słuchaczka nadzwyczajna, nie mając jeszcze pełnej matury, a Józio na Akademię Sztuk Pięknych. Ale zbrojne pogotowie Ukraińców, zagrożenie Lwowa, zmobilizowało młodzież. Tłumny wiec akademicki uchwalił powszechny zaciąg i zamknięcie wyższych uczelni. Oboje więc zostaliśmy na lodzie, a o coś trzeba było się zaczepić.

W tym samym czasie przeszliśmy złożony kryzys uczuciowy, jak to bywa w rodzinach bardzo zżytych, nastąpiły różne wymiany, miłości, starań i wahań. Antek, wróciwszy z Kijowa, nie oświadczył się Karli, jak się tego spodziewała, ale 19-letniej Rózi. Heniś Przewłocki,

który mnie w tym okresie wyróżniał tak, że byliśmy bliscy zaręczyn — na które nie mogłam się zdecydować — zaręczył się niespodziewanie z Karłą, a Różia — z Ignacym Plater Zyberkiem.

W tym miejscu oddaję głos memu bratu, przepisując odpis nagranych na taśmę jego wspomnień:

„Kiedy dziś myślę o tym okresie, po Petersburgu z Antkiem i siostrami (Warszawa - Przyłuki i powrót do Warszawy), zdaję sobie sprawę, na ile trudny był to okres.

„Całe moje, w ramach teorii Tołstoja, myślenie i wysiłki postępowania w ramach tych zasad, jeszcze się trzymały, jak i dalsze stąd płynące wnioski. Bo Tołstoj — to nie tylko „nie zabijaj”, ale „nie posiadaj”... Przyłuki, nasz dom rodzinny, dobroć i hojność Ojca, zgoda na wyższe studia, gdzie i jakie wybiorę. Jestem wolny...

„Wojna światowa się kończy. Kraj częściowo jeszcze pod okupacją — o granicach nie wyznaczonych, tak od Wschodu jak i od Zachodu grożą Niemcy, Ukraińcy, Sowiety, a ja się zastanawiam, czy i na ile jestem wierny nauce Tołstoja, jakie popełniam kompromisy? (słowo znienawidzone!). Na przykład chodzę po Warszawie, upał, na ulicy sprzedają czereśnie, bardzo mi ich się zachciało. Kupuję — jakże słaby jestem — ten wydatek — niepotrzebny: kompromis.

„Jednocześnie myślę o moich kolegach pułkowych, tych, którzy byli wtajemniczeni w mój plan wystąpienia z wojska: Henryk Plater-Zyberk i Konstanty Dowgiałło.

„Była wtedy odwilż, siedzieliśmy na koniach w topniejącym śniegu. Mówią mi, że moje stanowisko rozumieją, szanują. 'Przeciwstawienie się wszystkim dla idei — macie rację — mówi Henryk — ale ja nie mam siły iść za wami tą drogą'. Chwila tego przypadkowego spotkania o zmierzchu, dla mnie pamiętna, spotkania i pożegnania. Obaj następnie polegli. Dowgiałło podczas wyprawy pułkownika Mościckiego z Bobrujska do Warsza-

wy. Henryk Plater zarąbany w ataku kawaleryjskim w trakcie wyprawy na Kijów.

A cośmy robili w tym czasie? My — tołstojowcy, trochęśmy głodowali w Piotrogradzie i tyle. Nikt nie myślał ani nas rozstrzelać, ani nawet aresztować. Co zdziałaliśmy? Nic.

„A teraz ja, 'dezterter' — kupuję czereśnie i zapisuję się na Akademię Sztuk Pięknych.

Wtedy, pod koniec 1918 roku nie umiałem sformułować przyczyny mego złego samopoczucia, nie umiałem ustawić mojej myśli szerzej, trzymając się jedynie ślepo przykazania 'nie zabijaj' i wierności Tołstojowi.

„W tym samym czasie doszła mnie pogłoska, że Bronisław Romer, po rozbrojeniu Korpusu Dowbora-Muśnickiego, postanowił broni nie składać, ale przedrzeć się poprzez Rosję bolszewicką na północ, na Murmańsk, do Archangielska, gdzie istniała baza wojsk alianckich. Z nim razem wyruszyli jego wierni towarzysze broni, ordynans Bronisław Mroczkowski, luzak Konstanty Lenartowicz, oraz rotmistrz Maciej Starzeński ze swoim ordynansem.

„Tymczasem cała młodzież wstępowała do wojska, w Małopolsce toczyły się walki z Ukraińcami, a ja czułem się zupełnie wykołowany, nie chcąc, nie mogąc z moimi przekonaniami iść do wojska, znalazłem się jakby wyłączony ze społeczeństwa, wyłączony z Polski.

Zwróciłem się więc do dowódcy 1-go pułku, płk. Dziewickiego, prosząc, by mi zlecił jakąkolwiek robotę, byle bym nie musiał zabijać, gotów będąc przyjąć każdą najtrudniejszą. Uderzyło mnie, że Dziewicki przyjął mnie per „panie poruczniku” i „mam zupełne zaufanie do pana” — a to było naprawdę niezwykle ze strony zawodowego oficera, który właściwie powinien był mnie kazać jako deztertera rozstrzelać od razu, a w każdym bądź razie nie podawać mi ręki!

„Po naradzie z oficerami pułku obecnymi w Warszawie, przy drugiej mojej wizycie Dziewicki zlecił mi

misję odnalezienia śladów zaginionych w Rosji oficerów 1-go Pułku Krechowieckiego i, ewentualnie, wykupienia ich, o ile są uwięzieni, krążyły bowiem różne wieści, m.in., że byli w osławionym więzieniu na Gorochowej w Piotrogradzie. Wręczono mi wtedy dwanaście tysięcy rubli w papierkach, zwanych kierenki (od Kiereńskiego), listy dyplomatyczne Rady Regencyjnej (na pergaminowym papierze z pieczęciami), do pozostałych jeszcze w Piotrogradzie członków Polskiej Komisji Likwidacyjnej dla spraw Królestwa Polskiego, stworzonej za czasów Rządu Tymczasowego przez mecenasa Aleksandra Lednickiego, wybitnego działacza polskiego, członka partii kadetów (konstytucyjna demokracja) i znakomitego mówcę.

„Chwila była osobliwa. 11 listopada Piłsudski wrócił z Magdeburga. Rada Regencyjna przekazała mu pełną władzę. Wyjechałem z Warszawy następnego dnia.

„Sieć kolejowa zdezorganizowana. Tysiące i tysiące jeńców rosyjskich w powrotnej drodze z Niemiec do Rosji, wypełnione pociągi. Władze polskie, obawiając się ekscesów tego zgłodniałego i zbałamuconego żołnierskiego tłumu, dostarczyły im środków lokomocji. Dla reszty pasażerów nie było miejsca w wagonach.

„Ubrany byle jak, w płaszczu bez oznak, z koszykiem zamiast walizki, zapuściwszy brodę, wmieszałem się w ten tłum i tak dojechałem do Białej, polskiej granicy. Nikt mnie nie zaczepiał i o dokumenty nie pytał. W Białymstoku była nowa granica, jeszcze pod niemiecką okupacją, teren zwany wtedy *Ober-Ost*, pomiędzy Rosją a Polską. Przed Białymstokiem nasz pociąg omal się nie wykoleił, bo Niemcy rozebrali szyny, do Białegostoku dotarliśmy na piechotę. Niemcy wycofywali tamtędy swoje wojskowe formacje z Ukrainy, ale też niezliczone eszelony załadowane zbożem i innymi dobrami.

„W Niemczech brała już górę rewolucja. W Wilnie rządził *Soldatenrat*. Niemiec z czerwoną opaską oświadczył, że tu nie ma miejsca dla Polaków, ani dalszej dla

mnie drogi. Wystąpiłem wtedy z wiadomością, jeszcze tam nie znaną, że socjalista Piłsudski objął władzę w Polsce, w końcu dali mi przepustkę na dalszą drogę.

„Granica sowiecka według moich informacji przebiegała blisko Pskowa, tam się kierowałem, ale linia do Pskowa została przerwana z powodu jakoby zaburzeń chłopskich. Jechałem więc przez Dźwińsk na Połock. W Połocku Niemcy opuszczali miasto, wszystkie sklepy zamknięte, wynająłem za 200 rubli furkę żydowską, a mądry woźnica przewiózł mnie lasami do stacji kolejowej Dretuń, już sowieckiej, skąd przenocowawszy u chłopca wzbogaconego na szmuglu kupiłem, już całkiem legalnie, bilet do Piotrogradu.

„W Dretuniu na warcie stał wysokiego wzrostu żołnierz, który mnie spytał: Co byłoby, gdyby Lenin chciał zagarnąć to wszystko, co było carskie? Tłumaczyłem temu żołdatowi, że teraz inne czasy, że nastał socjalizm, który wszystko odmieni.

„Tak znalazłem się w Petersburgu. Co teraz począć? wszyscy moi znajomi już dawno stąd zwiali. Hotele nieprawdopodobnie drogie, a każdy gość podejrzany, śledzony. Miasto wyludnione, zagłodzone, sklepy puste, handel prywatny surowo wzbroniony. Zniszczenie gospodarki miejskiej, nie istniejąca legalna aprowizacja.

„Pierwsze wrażenie, wychodząc ze stacji, to spotkanie za węglem młodej, dystygowanej kobiety, która nieśmiało usiłuje sprzedać dziecinny sweterek i ciepłe rękawiczki. Po zmarłym dziecku? Czy żeby zdobyć w zamian coś do jedzenia?

„Nie wiedziałem, co z sobą począć i wtedy, zrzadzeniem łaskawego losu, spotkałem przypadkowo dr. Jaxę-Bykowskiego, któremu zawdzięczam życie.

„Syn dr. Bykowskiego kolegował z moim bratem Stasiem w tej samej klasie naszego 12-go gimnazjum, doktor był lekarzem jednej ze stacji piotrogradzkich i dzięki temu względnie zaaprowizowany w żywność. Znałem doktora tylko z nazwiska, on mnie również, ale bez

wahania zaprosił mnie do siebie twierdząc, że nigdzie miejsca nie znaję.

„Przez cały mój pobyt mieszkałem u doktora i na jego utrzymaniu, pod opieką jego bardzo mi przyjaznej siostrzenicy, która mu dom prowadziła, zdobywając produkty żywnościowe od tzw. „mieszoczników”. Byli to chłopci, co przywozili w workach z bliższej, lub dalszej prowincji: kartofle, mąkę, masło, sól i sacharynę, bardzo cenną przy braku cukru. Byli to podstawowi karmiciele stolicy, uprawiający handel wymienny, kiedy brakło pieniędzy, brali odzież, meble, instrumenty muzyczne za kartofle, słoninę, mleko.

„Znalazłem u dobrych ludzi dach nad głową i tak rzadki w stolicy chleb powszedni, ale nie na to przyjechałem, żeby siedzieć w ciepłym domu. Dostać się musiałem do Czeka, zwanej Czerezwyczajką, do politycznej policji.

„Przez Karola Jaroszyńskiego słyszałem o niejakim Manasiewicz Manuiłowie, ex-dyplomacie carskim. Był w swoim czasie agentem rosyjskim przy Watykanie i za ostatniego premiera carskiego, Stuermera pełnił też jakieś funkcje przy rządzie.

„Tenże Manasiewicz, po zwycięstwie bolszewików wszedł do Czeka (Czerezwyczajna Komisja), służył jej, a jednocześnie za grube pieniądze ratował więźniów białych. Za naszego ostatniego pobytu w Piotrogradzie, suto opłacany przez Jaroszyńskiego informował go kiedy zrosiła mu rewizja czy aresztowanie i on również, za duże pieniądze, umożliwił Jaroszyńskiemu ucieczkę, kiedy grunt się już pod nim palił. Sądziłem, że i mnie zechce pomóc, gdy się dowie, że wiem o jego z Jaroszyńskim stosunkach.

„Miałem stale przy sobie te 12 tysięcy rubli i здавало mi się, że to bardzo dużo. Zgłosiłem się więc do byłego dostojnika. Małe, ale eleganckie mieszkanie, na ścianach szkice Baksta do baletów Diagilewa, biblioteka, gdzie każda książka była oprawiona w brokat francuski

(gospodarz był namiętym kolekcjonerem). Na biurku fotografia kardynała Rampolli, w dużej ramie, z serdeczną dedykacją po włosku... (Kardynał Rampolla uważany był za ministra spraw zagranicznych Leona XIII).

„Czapski, graf Czapski — przypomniał sobie Manasiewicz — Pana dziadek zajmował tu niegdyś ważne stanowisko...” i prowadzi mnie do swego gabinetu. Wykładam mu całą sprawę, zachęcony jego przyjęciem. Mówię o kolegach pułkowych, zaginionych, może aresztowanych, o próbach odszukania ich, może wykupieniu, mówię, że będę mógł coś zapłacić. A on: „*Znaję, prekrasno znaję*, o co panu chodzi, cel taki szlachetny, *ja was graf wizę naskwoż* (na wylot), ani grosza od pana nie wezmę, ale postaram się coś zrobić...”. Wycofuję się i wracam po trzech-czterech dniach. „Już ich znalazłem — oznajmia mi Manasiewicz. — Siedzą w więzieniu w Moskwie. Musi mi pan dać pięćdziesiąt rubli, nie dla mnie, ale dla kogoś z Czeka, który tę rzecz wziął w ręce. Pełen zaufania wyciągam te 50 rubli i wyznaję szczerze, że mam na ten cel 12 tysięcy rubli, ale mogę dać tylko, o ile będę tych poszukiwanych miał już na wolności. Ta suma nie jest moja i nie mogę nią rozporządzać na niepewne. Tamten zapewnił mnie, że on to załatwi, żebym był cierpliwy. Ważny szczegół, że wiadomość o aresztowaniu kolegów doszła mnie jeszcze w Polsce przez zbiegłego z Rosji byłego szefa Czeka na Piotrogród, przez którego ręce przeszli Romer i Starzeński. Zdemaskowany jako podwójny agent, uciekł przez Finlandię i trafił do Warszawy, jako rzekomy „biały”. Przegadałem z nim cały wieczór i miałem wrażenia, jakbym cały czas pił brudną wodę. Nazywał się Orłow, był dobrze zorientowany i radził mi jak podjąć starania, podał mi też karteczkę: „To jest nasz człowiek. Orłow”. Tę karteczkę stale nosiłem w portmonetce, mogła mnie zgubić.

„Za następną wizytą Manasiewicz oznajmia mi, że musi sam jechać do Moskwy, bo sprawa jest załatwiona,

żebym teraz dał mu pieniądze. Odmawiam. Pieniądzy nie dam, do Moskwy pojedę, albo sam, albo z nim.

„Niechętnie godzi się, sądził, że wszystko mu się uda i pieniądze zagarnie. Jeszcze się targuje o sumę, którą należy wypłacić jednemu z 'ważnych' czekistów, że bez niego sprawa nie ruszy. Ja, że sam temu czekiście wręcę, co trzeba.

„Nie, to nie jest możliwe, zbyt duże ryzyko... tylko ja mogę się z nim spotkać, nie pan. Odchodzę i czekam u tego najlepszego dr. Bykowskiego. Mija tydzień. Żadnej wiadomości. Idę znów do Manasiewicza. — Nieobecny. — Żona w nerwach, sekretarz w czarnych okularach, pozbawiony strun głosowych, mówiący szeptem, co dodaje jeszcze grozy sytuacji. Siedzę przy wygasłym kominku, przerażenie, nie wiedzą, gdzie się podział?

„W dwa dni potem czytam w gazetach, że go rozstrzelali, stwierdziwszy jego podwójną grę. Nie miało to nic wspólnego z moją sprawą, dla mnie nic nie załatwił, miał bardziej interesujące starania w toku (opowiadano o 100 tysiącach rubli wypłaconych za uratowanie jednego generała).

„Poprzednio Manasiewicz wymienił nazwisko tego niby szefa Czerezwyczajki, do którego mnie samego nie chciał dopuścić; idę więc do niego; sytuacja mogąca służyć za tło jakiejś sceny z Dostojewskiego: ten niby szef okazał się jedynie radcą prawnym „Czerezwyczajki”, obrośniętym, niedożywionym, z żoną, chyba morfinomanką, i synem idiotą, leżącym na łóżku. Mówię: ja panu przelałem 50 rubli. — Co? Nic podobnego! — Ten łajdak, oszust, nas okradł! Krzyczą oboje, potem zaręcza mi, że sprawę poprowadzi dalej, wyśle ponownie depesze, prosi tylko 18 rubli na telegram do Moskwy. Wręczyłem mu tę sumę, ale więcej do niego nie poszedłem, zrozumiałem, że to wszystko bluff, że nic nie było nawet podjęte.

„Takie więc były moje pierwsze wędrówki, a mogły się zupełnie inaczej zakończyć.

„Chodziłem też po adwokatach i przekonałem się, że jeden gorszy drań od drugiego, że chodzi im jedynie o wyłudzenie pieniędzy.

„Już w pierwszych dniach mego pobytu udałem się do Polskiej Komisji Likwidacyjnej, gdzie się dowiedziałem, że połowa urzędników aresztowana, że z dnia na dzień spodziewają się ich zwolnienia i odesłania do Polski całego personelu tej placówki. Jako że przyjechałem pierwszy z Warszawy po powrocie Piłsudskiego, zebrała się tam cała, już nieliczna Polonia petersburska, żeby wysłuchać ode mnie wiadomości o Warszawie i o Polsce. Mówiłem, jak do ludzi od dawna odciętych od świata!

„Przede wszystkim stawiano mi dwa pytania: jaki jest Piłsudski i czy są w Warszawie ciastka? Brak cukru, mąki, stwarzał obsesję ciastek, sam tego też doznałem! Urzędnicy komisji żadnej rady mi nie dali, ani pomocy, sami bezsilni, wyłącznie zajęci sprawą aresztowanych kolegów i niepewnością własnego losu. Sięgnąłem jeszcze do komisji Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, zajmowała się wtedy gorliwie — korzystając z koniunktury — skupowaniem cennej porcelany, mebli stylowych, obrazów — za grosze, ale w niczym również nie umiała mi pomóc. Co począć?... I wtedy, też przypadkiem, natknąłem się na generałową Gudimę. Zajmowała w czasie wojny w Mińsku jakieś stanowisko w Czerwonym Krzyżu i sprawowała opiekę nad szpitalami. Nasz Ojciec dobrze ją znał.

„Wykładam jej sprawę, a ona po namyśle: „tu trzeba sięgnąć najwyżej, inaczej nic pan nie wskóra...”.

„Lenin i cały rząd bolszewicki przenieśli się wtedy do Moskwy. Piotrogradem i jego okolicą pod nazwą Północnej Komuny rządził triumwirat: Trocki, Stasowa i Zinowiew. Stasową nazywali *sumieniem rosyjskiej rewolucji*, była symbolem cnoty sowieckiej. Córka generała dywizji, z dobrej rodziny intelektualistów, miała solidne zaplecze kulturalne.

„Sama podpisywała jakoby wyroki śmierci, ale znane też były wypadki, kiedy ludzi od śmierci ratowała.

„Niech pan spróbuje — radziła mi pani Gudima, w moim imieniu iść do Smolnego Instytutu i samej Stasowej sprawę swoją wyłożyć, ona może panu pomoże...”.

„Już kilka tygodni trwały moje zabiegi, z których nic nie wychodziło. Kilkadziesiąt rubli wydałem na próżno. Stasowa była moją ostatnią szansą. Idę do Smolnego: olbrzymi gmach, wszędzie stosy książek, propagandowych broszurek o komunistycznym władaniu ziemią... Z moich noclegów u chłopów i rozmów z nimi wiedziałem, jak wzbogaciwszy się na handlu i szmuglu zabezpieczali wszelkimi sposobami swoje posiadanie — a tu widzę sale pod sufit założone propagandą kolektywizacji...

„W obszernym biurze — kilka sekretarek: podchodzę do jednej i proszę o posłuchanie u Stasowej. Po krótkim oczekiwaniu przyjmuje mnie w pokoju-klitce. Stół, dwa telefony, dwa portrety: Lenin i Marks. Starsza pani, twarz pociągła, rasowa, zniszczony sweter, drucziane okulary. Raz jeszcze wykładam jej całą sprawę: przyjaciele, koledzy, przedzierali się na Murmań, żeby się dostać do Francji i tam podjąć walkę z Niemcami... Mówiłem oczywiście bardzo gorąco... A ona po zastanowieniu:

„Ja panu pomogę”.

(Dziś już nic takiego nie mogłoby się zdarzyć na szczytach władzy!); Stasowa kieruje mnie do niejakiego Feningsteina. — „On wie, co dzieje się z więźniami, co przeszli przez petersburskie więzienie na Gorochowej. Może panu da jakieś informacje...”. Siada i pisze list do tow. Feningsteina: „Daragoj Towariszcz”

i kończy (to pamiętam!)

S komunistycznym priwietom.

„Więc znów, pełen nadziei, ośmielam się jej postawić parę ogólnikowych pytań. — Czy propaganda, którą prowadzi partia bolszewicka przyjmuje się w masach, zwłaszcza wśród chłopów?

— Dla nich — odpowiada Stasowa — idee komunistyczne pozostają obce.

— W takim razie, jaki jest cel tej propagandy?

— Byt określa świadomość. Zmieniliśmy byt — świadomość się zmieni również.

— Więc Pani wierzy, że te broszurki przekonają chłopów do komunistycznego władania ziemią?

— Czy zna pan słowa Lassale'a: *Die grossen Leidenschaften sind des Geistes*.

„Spojrzała na mnie bacznie:

— *Niech pan przyjdzie za dwadzieścia lat...* i dodała: „macie świetnego socjologa Krzywickiego, czytajcie go!”.

„Po dwudziestu latach wróciłem do Sowietów i wystarczyło mi spojrzeć na ponure i wynędzniałe twarze chłopów, żeby wiedzieć, czy się sprawdziło optymistyczne proroctwo Stasowej.

Jadąc tramwajem ze Smolnego do siebie zauważam, że nie mam portmonetki... musiałem ją zostawić w Smolnym, a w portmonetce kartka: „To nasz człowiek. Orłow”. Groźne dla mnie nazwisko i 300 rubli, nie moich... iść, czy nie iść?... muszę odebrać! Wracam z duszą na ramieniu. Nie zdążyłem podejść do stołu, a już sekretarka podaje mi portmonetkę: „Pan to zostawił na biurku...”.

Nic nie chcąc zaniedbać, decyduję udać się jeszcze do sekretarki Orłowa, której dał mi adres. Dojeżdżam pod wieczór do jakiejś podmiejskiej dziury, czekam na nią w małym lasku. Dowiedziawszy się, kto mnie przysłał, błaga przerażona, bym zaraz odszedł i nie wracał. „Orłow tu zrobił straszne zamieszanie, paru ludzi rozstrzelali, wszyscy jesteście zagrożeni!” (A ja wciąż mam przy sobie kartkę: „Czapski — to nasz człowiek. Orłow”).

Feningstein. Krakowianin, młody, typowy intelektualista, urzęduje w byłym ministerstwie wojny. Zgłaszam się do niego z kartką od Stasowej. Przedstawiam sprawę, wymieniam tylko Romera, przemilczam stopień

wojskowy, mówię o bazie alianckiej i zamiarze przedarcia się do Francji, dla podjęcia dalszej wojny z Niemcami.

„Dziwi mnie — zauważa Fenigstein — pan mówi, że pański kolega jest szlachetny człowiek, dlaczego nie solidaryzuje się w takim razie z ludem rosyjskim w jego walce o wolność?... Dla pani Stasowej zrobię jednak, co mogę. O co panu chodzi?”

— Chcę odnaleźć Romera i jego towarzyszy. Krążą pogłoski, że są uwięzieni w Petersburgu.

Po trzech dniach wracam. „Kolega pana, Romer — komunikuje mi Fenigstein — został rozstrzelany na granicy Archangielskiej obłasti...”

Pod obuchem tej informacji pytam tylko „a jego towarzysze?... Maciej Starzeński i reszta?”

— Ja spełniłem tylko to, co mi zleciła pani Stasowa”.

Wychodzę. Więc to koniec mojej misji. Ale skąd pewność, że to prawda? Udaję się ponownie do Stasowej, proszę, żeby zechciała osobiście sprawdzić wiarygodność informacji. Stasowa, w mojej obecności telefonuje, chyba do archiwum Czeka, żądając wglądu do protokołów, a zdobywszy dokładne dane, przekazuje mi je: nazwiska oficerów i żołnierzy aresztowanych na granicy Archangielskiej obłasti w miejscowości Powieńce 21-go września. Papiery osobiste fałszywe, przy Romerze list angielski. Sądził ich miejscowy Trybunał Rewolucyjny 23 września, skazując na śmierć. Wyrok wykonał tegoż dnia 6-ty batalion Biłgorajski.

W tym miejscu zacytuję kilka fragmentów testamentu Bronisława Romera. Został nam przekazany przez rodzinę w kilka lat po jego śmierci, a napisany przed samym wyjazdem w tę ostatnią drogę:

„Najdrożsi i najukochańsi moi!

W przełomowej chwili życia mojego, wobec okoliczności, które mi wskazały konieczność wyjazdu i oddalenia się na czas pewien od kraju rodzinnego, wobec niepewności losu każdego wojskowego, chciałbym w kilku sło-

wach, na wypadek gdyby zrządem Opatrzności nie dane mi było więcej oglądać was, ani ziemi rodzinnej... wyrazić bezmiar miłości i oddania duszą i ciałem narodowi polskiemu...

Proszę więc Boga, aby mi umysł oświecił i dał siły służyć... ukochanej Ojczyźnie ku chwale której z największym szczęściem położę młode życie w ofierze...

Drugim, nie mniej silnym wzruszeniem moim, jest przywiązanie do was, rodzeństwa i całej mojej drogiej rodziny... Nie mogę wam trudnej egzystencji ułatwić. Znajduję otuchę w wierze, że Opatrzność, która nas nigdy nie opuszczała i tu nas wspomóż, jak również uratuje od zagłady drogą nam wszystkim Ojcowiznę...".

Mereżkowsy. Złota legenda

„Zdobywszy pewność zamordowania Bronisława Romera i jego towarzyszy, czyli spełniwszy powierzoną mi misję, zebrałem się do przygotowania powrotu. Chcę jednak włączyć tu epizod nie związany z poszukiwaniem moich kolegów, ale dla mnie, w tym okresie, bardzo ważny: poznanie Mereżkowskich.

„Odwiedzałem kogoś na ul. Siergiejewskiej, nie pamiętam kogo, i zauważyłem na którychś drzwiach tabliczkę: Mereżkowski. Mereżkowskiego znałem tylko z jednej jego opowieści: *Leonardo da Vinci*. Moja teoria niesprzeciwiania się złemu zdawała mi się już samą tylko dydaktyką, brakło mi jednak argumentów przeciwnych i dopełnienia, czy też obalenia tej ideologii. Odważyłem się, zadzwoniłem. Otworzył sam Mereżkowski, niby jakiś kapłan egzotycznej religii, w czarnym, aksamitnym płaszczu o futrzanym kołnierzu (był to płaszcz żony). Mieszkanie zimne, brak węgla.

Drobna postać, siwiejąca bródka, oczy jasne, szeroko otwarte, z wyrazem dziecięcego zaufania. I oto jeszcze jeden przykład stosunków rosyjskich. Przyjął mnie w

stołowym pokoju, przysiadł na stole i zaraz zapytał o co mi chodzi? — Ja, że jestem tołstojowcem, nie mogę zabijać, ale jak nie reagować na to, co się dzieje na świecie? Jak połączyć ewangelię i gwałt wojny?

— Zina, Zina, — zawołał na żonę — *eto intieresno!* — Pan jest chrześcijaninem — zabijać — to grzech — wiadomo — ale należy pamiętać, że Pan nie jest sam, że pan należy do historii, do dziejów świata, ludzie się biją, o coś walczą, popełniają grzech, niech pan przyjmie też na siebie ten grzech i razem walczy o lepszy świat, w którym nie będzie zabijania.

„Opowiedział mi wtedy legendę o Kasjanie i Mikołaju. Obaj dążyli do nieba w białych szatach wzdłuż zabłoconej drogi, aż spotkali chłopca, co wraz z wołem ugrzązł w tym błocie i błagał o ratunek. Kasjan minął chłopca, a Mikołaj nie wytrzymał, poszedł wyciągać wóz i potężnie się ubabrał. Tak doszli obaj do nieba. Święty Piotr wypuścił obu na sąd Boży, a Bóg oświadczył Kasjanowi, masz niepokalane szaty i będziesz miał święto raz do roku, ale tylko co cztery lata, bo w rok przestępny 29 lutego, a ty, Mikołaju, zapomniałeś o swoich szatach, ratowałeś bliźniego, dlatego twoje święto będzie obchodzone cztery razy do roku.

„To jest jedna z pięknych złotych legend rosyjskich. Zachęciła mnie iść śladami Mikołaja, nie Kasjana. Potem spytał, co czytam? Tołstoj — dobrze, ale trzeba czytać Dostojewskiego, poznać Rozanowa (o którym wtedy nic nie wiedziałem). To wielki przeciwnik chrześcijaństwa, z którym wciąż walczy, ale niech mi pan wierzy, Chrystus przyjmie go stokrotnie lepiej od każdego z nas, on cofa się ku krzyżowi i widzi tylko cień krzyża na ziemi, ale wciąż się do krzyża zbliża...”

Mereżkowski pożyczył mi wtedy parę książek, czy też wzięłem je może z biblioteki, takiej inkubacji lekturą jak wtedy — nie pamiętam. Kupiłem Dostojewskiego, odkryłem Rozanowa, Nietzschego. Światy mi się otworzyły. Każda przerwa w lekturze była cierpieniem. Prze-

czytałem *Karamazowych* i *Biesy*. Znałem już *Zbrodnię i karę*. Wszystko co się działo wokół mnie — to Dostojewski przewidział i opisał już kilkadziesiąt lat przedtem!

„Mereżkowskich odwiedzałem co drugi dzień i wielokrotnie powracałem, odchodziły długie rozmowy, u nich poznałem wtedy Fiłosofowa. Nie był wylewny, obserwował mnie i stawiał precyzyjne pytania o Mickiewicza w Paryżu, o rolę Polaków w 1848 roku, a ja mało co mogłem mu powiedzieć, machnął więc na mnie ręką, żadnej nie znajdując korzyści w tym obcowaniu. Z Mereżkowskimi przyjaźń się zacieśniała, zwłaszcza z Ziną, poetką. Była Achmatową tamtych czasów, miała trudny charakter ale dużo uroku, inteligencji, oryginalności, niektóre jej wiersze dotychczas pamiętam. Moje lektury, zwłaszcza Rozanow i Dostojewski, uwolniły mnie od Tołstoja, zbliżyły do katolicyzmu, naświetliły zmysł historii, odkryłem Rozanowa i jego „Tiomnyj lik”, skrajne przejawy ekstremistycznych sekt rosyjskich, tak zbliżonych w swych założeniach do naszej próby z ubiegłego roku „odmiany świata”, tyle że doprowadzone życiem do wniosków ostatecznych.

„Chciałbym tu wspomnieć przeżycie, które jak dziś pamiętam: Była noc, księżyc, szedłem wzdłuż Newy, wyłoniła się nagle z mostu przede mną stara dorożka, zaprzężona w konia chudego, jak szkielet prawie, który ledwo miał siły się poruszać.

Odruchowo zwróciłem się do dorożkarza, który siedział na wysokim koźle: „jak możesz tego konia zaprzęgać, on ledwo żyje!...”. Spojrzałem na twarz woźnicy. w świetle księżyca, miał twarz trupiej czaszki. Popatrzył na mnie wyniosłe, z góry i odparł: *my wsie pomriom*.

„Wracałem więc do Polski całkiem odmieniony. Powrót był równie trudny i skomplikowany, jak przyjazd. Małymi etapami, zależnie od pociągów kursujących o nieistniejącym rozkładzie. Z biletem I-szej klasy Wagons Lits Companie Internationale, do Żłobina jechałem

z siedmiu chłopami i ich workami, pełnymi wszelkiego dobra, którego głodny Petersburg się pozbywał, w zamian za kartofle, słoninę, mąkę, i sacharynę, szmuglowaną przez granicę niemiecką.

„Chłopi kurzyli, gwarzyli zdjawszy buty, ale na każdej stacji miejscowy czekista mógł zarządzić rewizję pasażerów i podejrzanych rozstrzelać bez sądu, a miałem znowu przy sobie kompromitujące papiery, sprawozdania członków Komisji Likwidacyjnej w sprawie kolegów aresztowanych, sprawozdania skierowane do Paderewskiego i dużą ilość listów.

„Zaopatrzony w kolejową mapę Rosji, wybrałem drogę na Żłobin, dłuższą, ale jakoby pewniejszą. (Pewien urzędnik naszego konsulatu, który wyjechał przede mną został zrewidowany, odebrano mu wszystkie papiery i przetrzymano w areszcie cztery i pół tygodnia. Ja miałem szczęście dojechać do Polski w osiem dni i nie być ani razu rewidowany).

„W Żłobinie dowiedziałem się, że biletów na dalszą drogę na Zachód nie sprzedają, chyba że mam jakieś szczególne skierowanie. Przenocowawszy na podłodze u zanego kolejarza dostałem się jednak następnego dnia, za dobrą łapówkę, do służbowego przedziału kursującego na tej linii pociągu, podając się za krewniaka konduktora usadowiłem się przy oknie, z bekieszą na haku nad głową i zaczytałem się w książce Mereżkowskiego „Griaduszczi Cham”.

„Do tegoż przedziału wszedł niebawem ten sam czekista, co mi odmówił prawa dalszej jazdy i oświadczył, że jest agentem specjalnej komisji i ma zlecenie rewidować podejrzanych pasażerów, mianowicie kapitalistów i innych wrogów ludu, usiłujących dostać się za granicę. Błyskawicznie zasłoniłem się bekieszą udając, że śpię. Byłem jedynym cywilem w przedziale. Każdej chwili mogłem być zrewidowany, bez przepustki żadnej, bez biletu, aresztowany. Czy czekista mnie nie poznał, czy też nie chciał wszczynać dochodzeń, czując się sam niepewnie w tym

służbowym przedziale? Wdrapał się wreszcie na wyższą półkę i zasnął snem sprawiedliwego, ale na stacjach wysiadał i strzelał — dla postrachu do bab z workami i reszty pasażerów. I tak dojechałem do Kolankowicz, stamtąd *ciepłuszką* do Łunińca, gdzie natknąłem się na Niemców. Dworzec był już w rękach bolszewickich, ale linią kolejową szły pociągi w kierunku Białegostoku, którymi Niemcy wycofywali się z Ukrainy, wywożąc zdobyty łup.

Niektórzy mieli już zamiast wojskowego bączka na czapkach — bolszewicką odznakę, młot i sierp.

Udało mi się dostać do jednego z wagonów z końmi, gdzie znalazłem Gefreitera zaczytanego w książce o sytuacji politycznej w Rosji i ciekawego, czy Tołstoj był rzeczywiście odpowiedzialny za to, co się w Rosji stało. Stąd niespodziewana dyskusja w końskim wagonie z niemieckim żołnierzem o przyczynach rosyjskiej rewolucji i dyskusja na tematy tak dla mnie aktualne, rozgrzane doskonałą, żołnierską zupą z kluseczkami, którą się Niemcy chętnie z przygodnym pasażerem dzielili. Białystok pod okupacją niemiecką, żadnych pociągów w stronę Polski, o niewyznaczonej jeszcze granicy. Wynajętymi saniami Żyd woźnica przewiózł mnie przez tę fikcyjną granicę i wysadził w przydrożnej karczmie w Białej, polskiej już stacji kolejowej. W tej karczmie doznałem silnego wrażenia:

„Zachodzę i widzę: kanarki (tak przezywano polską żandarmerię), chłopów, szlachtę, Żydów — piją wódkę, kłócą się, krzyczą — jeden mówi, że Piłsudski jest łajdak, inny, że doskonały człowiek — i to było moje wrażenie odzyskanej wolności. Odetchnąłem! Tego nigdy nie zapomnę. Wracałem z kraju milczenia. Piotrogród i jego ulice, miasteczka i stacje — wszystko milczało...”

W początkach stycznia 1919 roku, w recepcji hotelu Bristol zjawiał się podróżny w wytartej bekieszy, walonkach i barankowej czapce. Jako bagaż spory koszyk, do którego był przywiązany czajnik. Pytał gdzie mógłby

znaleźć hr. Czapskiego? (Ojciec nasz zatrzymywał się dawniej zawsze w Bristolu). Dziennikarze obstąpili mego brata zasypując pytaniami: co widział, słyszał, jak jest, co było, co będzie?... a my witaliśmy go po dwóch miesiącach rozstania, bez żadnych wieści, jak kogoś z tamtego świata.

Misję zleconą Józio wypełnił, stwierdziwszy niezawodnie śmierć obu oficerów i ich towarzyszy. Dwadzieścia cztery lata później, z polecenia gen. Andersa, podjął podobne poszukiwania, już nie kilku polskich wojskowych, a z górą kilkunastu tysięcy zaginionych w ZSSR oficerów polskich, ale tym razem żadnych śladów po zaginionych nie zdołał odnaleźć, żadnej zdobyć informacji, żadnej wskazówki, mimo że był w mundurze polskiego oficera, sprzymierzonego wtedy w walce z Niemcami państwa, zaopatrzony w pisma i skierowanie gen. Andersa, dowódcy Armii Polskiej, formującej się w Rosji. Dzięki tym pismom zdołał i tym razem dotrzeć do najwyższych instancji, ale na próżno. Mogiły Katyńskiej i innych miejsc kaźni polskich oficerów nikt mu nie zdradził. Był rok 1942.

Brat mój wrócił z Piotrogradu głęboko odmieniony.

Występując przed rokiem z wojska, odrzucając przywileje swego środowiska i przywileje posiadania, nie chciał obecnie korzystać z przywileju bezpieczeństwa, wówczas kiedy koledzy i przyjaciele ginęli.

Włączyć się w historię... przyjąć grzech na siebie... walczyć o lepszy świat — nie być Kasjanem w niepokalanej szacie. Wrócić do wojska... Wrócić do 1-go pułku w sumieniu swoim nie miał prawa, musiał się czymś zasłużyć, aby tam móc wrócić. Melchior Wańkowicz dopomógł mu wtedy i doradził. Miał dwóch szwagrów, Małagowskich, starszy był komendantem pancernego pociągu *Śmiały* na froncie wschodnim, drugi służył w tymże pociągu. „Ty musisz — mówił Wańkowicz — poznać młodzież polską, której nie znasz, zaciągnij się do *Śmia-*

tego, ten pociąg zasłużył się w walkach o Lwów, teraz stoi pod Borysowem, polecę cię moim szwagrom". I tak się stało. Brat mój, jako szeregowiec, wstąpił do obsady *Śmiałego* w dzień śmierci młodszego Małagowskiego, a byli obaj wspaniałymi chłopcami. Starszy, dowódca, umiał stworzyć w tym pancernym pociągu zwarty zespół, w porozumieniu z każdym żołnierzem, i Józio poznał tu istotnie młodzież polską, zwłaszcza galicyjską i znalazł wśród nich przyjaciół, nie tylko kolegów.

W parę miesięcy później zginął też dowódca, starszy Małagowski, tak, że pierwsze wrażenia wojskowe mego brata to poznanie obsady *Śmiałego*, śmierć obu Małagowskich i pogrzeb ich w Warszawie.

Pod koniec 1918 roku Ojciec nasz wynajął w małym pensjonacie przy ul. Szczygłej kilka pokoi na piętrze, jako *pied à terre* dla całej rodziny.

Schronisko na Krochmalnej

Po zamknięciu Uniwersytetu zgłosiłam się do organizacji społecznej Koła Polek, gdzie mnie poinformowano, że dwaj studenci — wychowawcy z bursy dla chłopców przy ul. Krochmalnej, zaciągnęli się do wojska i że mogę objąć wakujące po nich stanowisko kierownicze — co też zrobiłam, nie wiedząc co czynię. To schronisko mieściło się w ponurym gmachu z nietynkowanej cegły, dawnego rosyjskiego cyrkułu policyjnego. Siedemdziesięciu chłopców od ośmiu do czternastu lat. Personel: kucharka, jej pomocnica, gospodyni i kierowniczką — czyli ja.

Zapowiedziany powrót Piłsudskiego z Magdeburga miały uczcić tłumne manifestacje. Wszystkie szkoły i bursy miały tego dnia, w niedzielę, wystąpić w pochodzie. Zimny, listopadowy dzień. Czekam z moją gromadą, ustawioną w szeregu w podwórzu przy Nowym Świecie. Godzina, dwie... — nie odstępuję dzieci w obawie, że mi się rozbiegną. Wreszcie wiadomość: żadnego pocho-

du, ani manifestacji nie będzie! — Wracamy głodni i zziębnięci na południową kartoflankę.

Z chwilą powrotu Piłsudskiego i przekazania mu władzy przez ks. Lubomirskiego, Rada Regencyjna przestała istnieć. Beseler zniknął i zaczęło się rozbrajanie Niemców. Poddawali się pojedynczo, bez sprzeciwu, oddając chętnie broń, nawet młodzieży, nawet dziewczętom. Wśród ogólnego entuzjazmu zmuszano do kapitulacji mniejsze garnizony na prowincji, opanowywano linie kolejowe, urzędy, instytucje, wypierając zewsząd okupantów.

Piłsudski zwrócił się do ludności z wezwaniem, by nie ulegała uczuciom gniewu i zemsty... Wyjazd władz i wojsk niemieckich musi odbyć się w porządku, wedle ustalonych przez władze polskie etapów.

Komendant wiedział, że przewagę w I-szym rządzie Rzeczypospolitej musi mieć lewica, że Europa przeżywa epokę wielkiej przebudowy społecznej, ale że zniszczona, uboga Polska na żadne skrajne eksperymenty pozwolić sobie nie może.

„Was niesie na swoich skrzydłach — mówił Piłsudski do przedstawicieli stronnictw lewicowych już 10 listopada — wiatr, który polatuje nad całą Europą... Jeżeli wy — kończył — nie wykorzystacie tego czasu, kiedy macie władzę, by się zorganizować, aby w piasku stać się realną siłą, to ja was z błota za uszy wyciągać nie będę”.

Tworząc I-szy, a następnie drugi rząd, Piłsudski miał trudności nie tylko z prawicą, ale też z lewicą. Po osiemnastu miesiącach twierdzy Magdeburgskiej widział dalej i szerzej od tych, co na miejscu wplątani w spory partyjne i koniunkturalne rozbieżności opinii przygotowywali drogę niepodległości. Nawet z Daszyńskim nie było łatwo się porozumieć.

„Mówi do mnie — zwierzał się wtedy Piłsudski Miedzińskiemu — jak na wiecu w ujeżdżalni, grożąc gniewem ludu i barykadami... Nie rozumie, nie widzi, co stoi

przed nami, że musimy myśleć o całych dzielnicach kraju, gdzie wpływ lewicy jest minimalny, że mamy zorganizować nie tylko radę ministrów, ale cały aparat administracyjny, że musi powstać skarż, że trzeba uruchomić fabryki, osłonić się wojskiem, które trzeba uzbroić, nakarmić, odziać. Że na to wszystko trzeba ogromnego wysiłku i trzeba zaprząć wszystkie siły, wszystkich ludzi, których lewica ma właśnie najmniej... będziemy potrzebowali pomocy z zewnątrz, Paryż jest ważny, nie tylko Warszawa i Kraków. Świat na nas patrzy i musimy mu się zaprezentować jako naród zdolny do pełnego wysiłku, a nie gromada skłóconych gadułów, gotowych strzelać do siebie o podział strzępów władzy”.

Nastała zima. Entuzjazm początkowy opada w obliczu głodu i chłodu. W całym kraju anarchia: grabież składów sprzętu wojennego po okupantach, omal codzienne manifestacje bezrobotnych. Rewolucja od Wschodu. Prowincje zachodnie jeszcze nie wyzwolone, granice państwa nie ustalone. Paryski Komitet Narodowy, pod przewodnictwem Dmowskiego, nie ufa Piłsudskiemu, mając go za bolszewizanta i germanofila; nie uznaje rządu Moraczewskiego.

Moje kierownictwo na Krochmalnej polegało na ogólnym dozorze i porozumiewaniu się z Zarządem Koła Polek. Chłopcy chodzili do szkół i warsztatów. Wracali na wieczorną, słabo okraszoną kartoflaną i kawał razowego chleba. Klozet w głębi podwórza, późna jesień, po nocy wzdłuż murów szereg kupek, nie starcza wiader stawianych po sypialniach na noc, niektóre dzieci się moczają, przegniłe sienniki, w całym domu chłód, brud i wilgoć, zlewy w umywalni służą do innych potrzeb. Personel jada mięso codziennie, dzieci nigdy. Gina prześcierała.

Przedstawiam sprawę Zarządowi: dzieci głodne, dla-

tego giną prześcieradła, owijają się nimi wychodząc do szkół, lub przerzucają przez mur.

— Trzeba pilnować, to pani sprawa...

— Pożywienie jest niewystarczające...

— Dla pani, bo pani jest do czego innego przyzwyczajona, dla nich jest wystarczające...

Czuję wyraźny opór w stosunku do moich żądań i brak zaufania do moich kompetencji.

— Pani poprzednicy nie oszczędzili pasa — uprzedza mnie gospodyni — bez pasa pani nie poradzi.

Na skutek mojego braku autorytetu nastąpiły bójkę, awantury, symulowane pożary. Po kilku tygodniach bezradna, bliska rozpacz, poszłam do *Domu Sierot* dr. Korczaka przy tejże Krochmalnej, co moje schronisko. Poszłam po ratunek. Korczak zajęty był rozmową z gromadką dzieci. Towarzyszyła mu pani w czerni, z białym kołnierzem i mankietami. To była Maryna Falska. Zgodziła się przyjść, zobaczyć. Jej mocny uścisk dłoni potwierdził obietnicę.

Przyszła — i została.

Maryna Falska

Zaczął się od porządków, od tych zlewów wypełnionych kałem, podłogi moczem zalanej, ubikacji podwórzowej, której progu nie sposób było przestąpić, przegniłej lub skruszonej słomy w siennikach dzieci.

Maryna zdjęła swoje białe mankiety, podwinęła rękawy, wzięła kubek, miotły i ścierki, splukała podłogę i zlewy, wyżeła ścierki, osuszyła z tą samą powagą, w milczeniu, nie upomniawszy nikogo — dała przykład. Chłopcy stali, oczom nie wierząc — było im wstyd.

— To wasza rzecz dbać o porządek w waszym domu — powiedziała. Tak się zaczęło. Wymogłyśmy od zarządu świeżą słomę, większe przydziały żywności. Jej powaga i doświadczenie zdołały przełamać formalizm pań

z zarządu. Maryna zorganizowała dyżury, założono biblioteczkę, chłopcy poczuli opiekę, przychodzili do nas ze swoimi sprawami szkolnymi, po radę — nie bali się. Cyrkuł stał się domem, niekarna gromada nabrała ufności.

W Marynie nie było nic zdawkowego, nic z drobnej monety grzeczności. Uśmiech, przelotny gość, oświecał jedynie jej wąskie usta, oczy były zawsze poważne, surowe, nie pamiętam, aby kiedykolwiek się roześmiała, działała na dzieci obecnością, uciszała milczeniem, bez sprzeciwu ulegały jej autorytetowi, urzeczone.

Dr Korczak umiał się śmiać i droczyć z dziećmi, umiał je też pieścić. Maryna tkliwość trzymała na wodzy, może się jej lękała?

Doktor zaglądał do naszej infirmierii, leczył, radził. — Starozakonny? — spytał mnie szeptem jeden z chłopców.

Słowo Żyd było dla niego obciążone innymi treściami, a ten doktor nie był podobny do żadnego innego.

Wieczorną herbatę piłyśmy w pokoju Maryny. Śnieg ściszał turkot uliczny. Dzieci spały, zimno.

Maryna grzała ręce, obejmując gorącą szklankę.

Równym, spokojnym głosem opowiedziała mi swoje dzieje. Jako młoda dziewczyna weszła do Polskiej Partii Socjalistycznej, powierzono jej kolportaż *Robotnika*, był drukowany nielegalnie w Łodzi, redagowany przez Piłsudskiego. W 1900 roku policja wykryła drukarnię. Piłsudski aresztowany, odstawiony do cytadeli. U pp. Rogowskich, rodziców Maryny — rewizja. 18-letnia Maryna aresztowana. Cytadela Warszawska. Represje stosowane wobec młodych były najsurowsze. Chodziło o ich sterroryzowanie. Ciasne, niskie cele, niemożność wyprostowania się, mnóstwo myszy, obrzydzenie, głód, strach.

Wysiedlona w głąb Rosji, do Wołogodzkiej guberni, po roku wraca i pracuje nadal w konspiracji.

W listopadzie 1904 roku wielka manifestacja robotnicza, na Grzybowie, pierwsze masowe manifestacje od

czasów Powstania Styczniowego, krwawo stłumione przez policję.

„Każde pokolenie — twierdził Piłsudski — krwią swoją musi przypomnieć, że Polska żyje i że z niewolą się nie pogodziła”.

Maryna Rogowska, konsekwentnie bezwyznaniowa, poślubiła dr. Falskiego w Anglii, aby uniknąć obowiązującego pod zaborem rosyjskim ślubu kościelnego.

Rewolucja 1905 roku w Polsce. Zamachy bombowe, poszukiwani, Falscy opuszczają Warszawę, zaczepiając się na dalekich kresach, w miasteczku polsko-białorusko-żydowskim Wołożynie. Epidemia tyfusu. Dla doktora nie ma dni i nocy w służbie chorych. W tym to Wołożynie pochowano dr. Falskiego. Zwłoki socjalisty i bezwyznaniowca odprowadziła na cmentarz cała ludność miasteczka z krzyżem na czele. Nabożeństwo żałobne odprawione zostało w czterech obrządkach: katolickim, prawosławnym, mojżeszowym i karaimskim. Ale Maryna nie wzięła udział w pogrzebie, był religijny. Następnie zmarła też jej kilkuletnia córeczka.

Wojna i rewolucja zagnały Marynę Falską do Kijowa, front niemiecki sięgał Dniepru. Kijów przechodził z rąk do rąk, ale na jego przedmieściu przy ul. Bogoutowskiej mieściło się zaimprovizowane schronisko dla chłopców ewakuowanych w 1915 roku z Warszawy. Pani Falska podjęła się kierownictwa polskiego sierocińca. Tu poznała dr. Henryka Goldszmidta — Janusza Korczaka, lekarza wojskowego, odwołanego z pobliskiego pułku do służby zdrowia w mieście.

W *Pamiętniku* Korczaka — pisanym w 1942 roku — w ostatnich miesiącach życia, znajdujemy następujące wspomnienie: „Kijów — chaos, dziś Ukraińcy. Zbliżają się Niemcy, jeszcze Rosja carska, w okresie tym byłem lekarzem w trzech sierocińcach pod Kijowem. Już wokoło ziało wszystko hamowaną zbrodnią. Jakie naiwne wydaje mi się dziś moje poczynanie, aby: plan, ład, uczucie,

ludzie, źdźbło wrodzonego rozsądku, cień dobrej woli — aby oszczędzić dziecko”.

Na przygodnych postojach polowego lazaretu, wśród krzyżujących się rozkazów, napływających transportów rannych — pisał dr Goldszmit - Janusz Korczak książkę pt. *Jak kochać dziecko* i obmyślał swoją metodę wychowawczą.

W czterech drewnianych domkach na peryferiach kipiącego rewolucją głodnego Kijowa rozpoczęła się współpraca Doktora z Maryną Falską, aby „oszczędzić dziecko”.

Maryna zachowała ciepłe wspomnienie Bogoutowskiej. Jej opustoszałe życie odzyskało treść, włączone w bieg ludzkich losów i odpowiedzialności. Bogoutowska — to pierwsze próby zastosowania eksperymentalnej pedagogiki, opracowanej w służbie frontowej przez dr. Korczaka.

Do dziejów swojej młodości nie wracała Maryna nigdy więcej w rozmowach ze mną. Ale ten wieczór na Krochmalnej i dar okazanego mi wtedy zaufania związały mnie z nią na zawsze.

Schronisko Koła Polek zostało zlikwidowane, nie pamiętam z jakich przyczyn, chyba z braku funduszy. Chłopców rozlokowano w innych sierocińcach. Spotykałam ich na ulicach, sprzedających gazety. „Pani Czapka!” — witali mnie życzliwie. Jakoś sobie radzili.

Wojna, co dzieci nie oszczędza, trwała. Ludzie umierali za Lwów, za Wilno, ginęli pod Kijowem i pod Radzyminem, zabijani i zabijający, coraz więcej było sierot, dzieci bezdomnych.

Jesienią tegoż 1919 roku powstał sierociniec dla 50-ga dzieci robotniczych w Pruszkowie, z ramienia Towarzystwa Opieki nad Dzieckiem PPS, pani Falska została kierowniczką tego pierwszego *Naszego Domu*. Dr Korczak jego opiekunem, doradcą, lekarzem.

Dom był ciasny, nieskanalizowany, z cuchnącą ubi-

kacją w podwórzu, o ileż gorszy od żydowskiego Domu Sierot i dr Korczak nad tym cierpiał, że *Nasz Dom* nie miał możnych opiekunów, wspierających Dom Sierot, że dzieciom polskim było gorzej, niż dzieciom żydowskim. Ale w 1926 roku, po przewrocie majowym, przy pomocy i pod opieką marszałkowej Piłsudskiej stanął na Błoniach Bielańskich piękny, dwupiętrowy gmach, pomysły i zbudowany na internat dla setki dzieci robotniczych. Pani Falska zgodziła się objąć kierownictwo, pod warunkiem pełnej niezależności kierownictwa i systemu pedagogicznego, oraz laickiego charakteru zakładu.

Odwiedziłam Marynę kilkakrotnie w Pruszkowie, w okresie moich studiów, z tym samym zawsze wzruszeniem. Któregoś dnia — po długim rozstaniu, po latach spędzonych w Paryżu, odnalazłam ją w Domu na Bielanych, taką samą, w surowej czerni. Poprzez biurko ujęła moje ręce w swoje ciepłe dłonie i patrząc mi w oczy przedłużała ten uścisk bez słowa, bez uśmiechu. Potem pokazała mi zakład od piwnic do poddasza.

W pokoju-biurze, o drzwiach oszklonych, z widokiem na rozległy korytarz-hall, przy biurku założonym księgami, trzymała Maryna Falska, przez lat dwadzieścia, ster Naszego Domu, domu rządzonego sprawiedliwymi prawami.

Jedyną ozdobą tego pokoju-biura była fotografia florenckiego grobowca Medyceuszów, dwie alegoryczne postacie: Noc i Dzień. Darowałam jej przy następnej wizycie piękny rysunek Zygmunta Waliszewskiego: głowę Michała Anioła, o twarzy pooranej i gorejącym spojrzem, kopię z jakiegoś sztychu. U dołu wpisałam fragment wyznania Michała Anioła: „Biada mi, przywodząc na pamięć, tyle lat zbiegłych, nie znajduję w nich, ani jednego dnia, który bym mógł nazwać swoim. Wiem dzisiaj, jaką ułudą było nawet moje umiłowanie sztuki. Każde bowiem ziemskie pragnienie człowieka jest ułudą” (*est un leurre*). Rysunek ten znalazł stałe miejsce w biurze Maryny, obok grobowca Medyceuszów.

Maryna przetrwała drugą wojnę światową, warszawskie Getto i jego stopniową zagładę, śmierć Korczaka i jego Domu. Nie próbowała ratować Doktora, wiedziała, że dzieci nie opuści, ale zdołała zabezpieczyć całą jego spuściznę literacką skazaną na przemiał, zamurowaną w szczytowej ścianie domu na Bielanach, o czym wiedział tylko jeden zaufany dozorca-murarz. Uratowała również *Pamiętnik* Korczaka, pisany w ostatnich miesiącach życia w getcie i wyniesiony z getta w ostatniej chwili.

W 1944 roku po latach zbrodni, trwogi i troski o każdy dzień do przeżycia, patrzyła Maryna na słupy dymów i płomieni, wznoszących się nad Warszawą, jej miastem, przez siedemdziesiąt cztery dni Powstania.

7 października, tegoż 1944 roku, otrzymawszy od władz niemieckich rozkaz ewakuacji Naszego Domu — Czerwona Armia już zajmowała Pragę — Maryna Falska zmarła na atak serca.

Część piąta

NIEPODLEGŁOŚĆ

Rok 1919. Wojna Polska

Polska odzyskała niepodległość, ale jakże zewsząd zagrożoną! Jej wojsko skłeczone z trzech armii okupacyjnych, z resztek Korpusu Dowbora-Muśnickiego i innych oddziałów, z kadr formowanych konspiracyjnie przez legionową organizację (P.O.W.) — wszystko o różnym uzbrojeniu, umundurowaniu, komendzie. Pozostały po Niemcach sprzęt wojenny był przez ludność zdemoralizowaną latami obcej władzy — rabowany, co wymagało licznych służb wartowniczych, wobec grasujących, uzbrojonych band. Na wschodzie bolszewickie bojówki głoszące hasła rewolucyjne demoralizowały ludność, Wielkopolska jeszcze nie wyzwolona, Lwów i wschodnia Galicja w rękach Ukraińców, kraj za Bugiem w rękach niemieckich, w całym kraju strajki robotnicze, w Warszawie burzliwe wiece i manifestacje.

Mimo to Naczelnik Państwa wyznaczył wybory do ustawodawczego Sejmu na 26 stycznia 1919 roku. W końcu 1918 roku na samo Boże Narodzenie poprzez Gdańsk, Poznań i Kraków, wszędzie witany entuzjastycznie, zjawił się w Warszawie Ignacy Paderewski, kładąc na szalę rywalizacji obu konkurencyjnych ośrodków władzy swój autorytet moralny i światową sławę artysty.

Piłsudski mianował go premierem nowego rządu, a już 10 lutego tegoż roku Naczelnik Państwa Józef Piłsudski otworzył uroczyście pierwsze posiedzenie Sejmu ustawodawczego.

„... W tej godzinie wielkiego serc polskich bicia — mówił — czuję się szczęśliwym, że przypadł mi zaszczyt otwierać pierwszy sejm polski, który znowu będzie domu ojczyzstego jedynym panem i gospodarzem”.

Pomimo chaosu panującego jeszcze w kraju, chodziło o wykazanie mocarstwom zachodnim, że odrodzone państwo polskie istnieje, krzepnie i prawa swoje stanowi. 18 stycznia rozpoczęły się obrady konferencji pokojowej w Wersalu, od których zależały losy Polski i jej granice.

Spisuję te historyczne wypadki w pół wieku później, korzystając z prac historyków, zwłaszcza z dzieła Pobóg-Malinowskiego, ale wtedy w 1919 roku, wśród tych różnych wrażeń, przejęta własnym i najbliższym losem, nie zdawałam sobie sprawy z zagrożenia kraju, ani z problemów młodego państwa.

Wiosna 1919 roku została mi w pamięci jako okres, gdzie miłość i śmierć splatały się najściślej.

Obaj bracia na froncie. Józio na północno-wschodnim w pociągu pancernym, Staś w 1-szym pułku Krechowickim na froncie ukraińskim, Karla zaręczyła się tej wiosny z Henrykiem Przewłockim, a Henio Rostropowicz, nieodstępny od wypadku w Łazarewiczach kolega Stasia, zginął na jego rękach rozerwany granatem, dla Rózi był to cios ponad miarę jej sił, wszyscy go opłakaliśmy. Lila jako pielęgniarka pracowała w pociągu sanitarnym, obsługującym front północno-wschodni. Ciężka epidemia tyfusu szerzyła się tego roku w wojsku. W tymże pociągu pracowały nasze kuzynki Nina Plater Zyberk, Zosia Potulicka, następnie Dowgiąłłowa i Ninka Ronikier. Nina i Ninka zaraziły się tyfusem i były pielęgnowane przez Lilę w szpitalu na Pradze, z największym poświęceniem, w prymitywnych, wojennych warunkach.

Ja przyjąłam tej wiosny tymczasową pracę w biurze Czerwonego Krzyża. Schodziłyśmy się czasem w ogrodzie przy pałacyku Łubieńskich na Mazowieckiej 5. Na tle tego kwitnącego ogrodu widzę bladą i splakaną twarz Rózi.

Jeszcze w okresie kiedy pracowałam w schronisku, nie mając zamiaru wyjść za Henryka, wymówiłam się z jego starań, mimo że jego względy krzepiły mnie w ciągu tej ciężkiej zimy 1918-1919, nieobecności Józia i trwogi o niego, mego nieudolnego kierownictwa schroniska na Krochmalnej i zagrożenia kraju od wschodu i zachodu. Tej zimy, podobnie jak w 1914 roku w szpitalu mińskim, zawiodłam się na sobie samej. Kiedy jednak Heniś, nie oglądając się już na mnie, zaręczył się wczesną wiosną z Karłą, poczułam się bardzo osamotniona. Kierownictwo sierocińca odstąpiłam pani Falskiej, a sama schroniłam się do pensjonatu przy ulicy Szczygłej i pograżyłam się w lekturach. W moim notatniku z tamtych lat, jakimś cudem zachowanym po tylu przewrotach, znajduję ślad moich ówczesnych lektur: poezje Żuławskiego, „Próchno” Berenta, poematy Rabindranath Tagore, których fragmenty przepisywałam.

*„Gdy serce wyschnie na pustynne piaski,
Przybywaj, Panie, z ulewą Twej łaski...”*

Odwiedziłam wtedy Dom Sierot Korczaka i któregoś dnia trafiłam na uroczystość zakończenia roku szkolnego.

Korczak zegnał wychowanków na samodzielną drogę życia.

„... Słowa biedne są, słabe — mówił — nic wam nie dajemy. Nie dajemy Boga, bo Go sami odnaleźć musicie we własnej duszy, w samotnym wysiłku, nie dajemy Ojczyzny, bo ją odnaleźć musicie własną pracą serca i myśli, nie dajemy miłości, bo miłość to przebaczenie, a przebaczenie to trud, który sami podjąć musicie. Dajemy wam tęsknotę za lepszym życiem, którego nie

ma, ale kiedyś będzie, za życiem prawdy i sprawiedliwości. Może ta tęsknota doprowadzi Was do Boga, Ojczyzny i miłości”.

Słowa tego pożegnania towarzyszyły mi przez całe życie.

Wedle dat mego pamiętnika widzę, że w tym czasie wróciłam dzięki książce zatytułowanej *Krug czтения* (Krąg czytania) do Tołstoja.

„*La plupart des hommes —* wpisał mi Józio na stronie tytułowej tej książki — *passent leur vie l'âme endormie... parfois assis seuls à l'heure du crépuscule au milieu de la campagne... avec la brise du soir est venue à eux... la nostalgie de l'au-delà et de la sainteté. Mais la nuit tombe, il faut rentrer... et il arrive souvent à la fin de la vie que c'est tout ce qu'on a entrevu de divin: quelques soupirs, quelques frissons, quelques gémissements inarticulés...*

Sabatier¹”.

... niech nam ta książka — dopisywał mój brat — dopomoże do tego, aby nasze wysiłki nie ograniczyły się do *quelques frissons, J.*”.

W sam dzień Wielkanocy 1919 roku Wilno i obszar wileński zostały zbrojnie zdobyte i włączone do Polski. „Miłe miasto”, miasto jego młodości, przywitało Naczelnika Państwa pieśnią, modlitwą i łzami z żarliwością przez samego Piłsudskiego niespodziewaną. Dzień zwycięstwa dla Polski był dniem klęski dla Litwy. Ale Naczelnik planując federację stwarzał fakty dokonane, z Wilna — jak sądził — będzie mu łatwiej pertraktować z Kownem, niż z Warszawy. W dwuletnią rocznicę zdobycia Wilna Piłsudski przybył do rodzinnego miasta i

1. „Większość ludzi spędza życie w uśpieniu. Niekiedy tylko, o zmierzchu, w samotności, na wsi, dociera do nich z wieczornym powiewem tęsknota za światem i świętością, ale noc zapada, czas do domu... i zdarza się w końcu życia, że to jest wszystko, cośmy dojrżeli boskiego: kilka westchnień, kilka dreszczów, kilka skarg nieokreślonych...”.

przyjął w imieniu Rzeczypospolitej władzę nad Wileńszczyzną.

W dzień wielkiego triumfu — mówił wtedy do zebranych przedstawicieli społeczeństwa wileńskiego — triumfu polskiego, który tak gorąco wszyscy tu zebrani odczuwają, nie mogę nie wyciągnąć przez kordon nas dzielący ręki do tych, tam w Kownie, którzy może dzień dzisiejszy, dzień naszego triumfu, uważają za dzień klęski i żałoby. Nie mogę nie wyciągnąć ręki, nawołując do zgody u miłości. Nie mogę ich nie uważać za braci”.

Litwini jednak nie darowali nigdy Polsce tego przywłaszczenia ich stolicy.

15 sierpnia 1919 roku odbył się ślub Karli z Henrykiem Przewłockim, na który przybyli obaj bracia szeregowi w mundurach.

Jesienią przyjechałam posadę nauczycielską w szkole powszechnej kolejowej nr 4 przy ul. Żelaznej. Wielkie musiały być braki w nauczycielstwie, skoro zaangażowano mnie bez żadnych kwalifikacji pedagogicznych i zlecono wykładać nauki przyrodnicze oraz rysunki.

Przed laty wykułam fizykę i chemię do egzaminów licealnych bez żadnej pomocy, bo mnie te przedmioty interesowały, zdołałam więc coś powiedzieć dziewczynkom najstarszego oddziału i nawet zaimprovizować jakieś chemiczne doświadczenia. Polubiłam te dzieci i one mnie polubiły. Zapisalam się też na Uniwersytet i chodziłam na popołudniowe wykłady prof. Kleinera, który przygotowywał swoich słuchaczy do studiów polonistyki.

W tym czasie wrócił do Warszawy z Kijowa Antek Marylski, podobnie jak mój brat z Petersburga, bardzo odmieniony. Nie było już mowy o żadnym odtworzeniu naszego „falansteru”. Pozostała przyjaźń głęboka i troska o niego, szukał swojej drogi, pełen rozterki, kochał się i chorował.

Pan Marylski, lękając się być może naszych wpły-

wów, wysłał go do Paryża na studia filozofii, ale spekulacja filozoficzna nie leżała w jego możliwościach, był człowiekiem czynu. Tołstojowskiej idei pacyfizmu pozostał wierny i do wojska, mimo zagrożenia kraju i powszechnej mobilizacji w 1920 roku, nie wstąpił. W 1922 roku, za poradą ks. Kornilowicza, światłego duszpastorza młodzieży akademickiej, nastąpiło spotkanie Marylskiego z Różą Czacką, wtedy już Franciszkanką.

Straciwszy wzrok w wieku 22 lat, zapoznała się z metodami kształcenia niewidomych we Francji i Szwajcarii i postanowiła zająć się sprawą ociemniałych w Polsce.

Spotkanie Antka z Matką Czacką miało nadać jego życiu treść i cel. Jako 28-letni młodzieniec znalazł pod jej rozumnym i doświadczonego kierunkiem pole pracy w duchu swoich dążeń i zdolności. W długoletniej współpracy z Matką Czacką i ks. Kornilowiczem stworzyli wielkie dzieło — Zakład Opieki dla Ociemniałych w Laskach pod Warszawą, dzieło, które przetrwało wszystkie klęski kraju, promieniując duchem światłego katolicyzmu na całą Polskę, znajdując przyjaciół i fundusze też za granicą — dziełu temu pozostał Antoni Marylski wierny do samej śmierci w 1973 roku. W ostatnich latach życia przyjął święcenia kapłańskie.

Rok 1920. Wyprawa Kijowska. Mereżkowsy

Groźny i krwawy był to rok dla Polski. Niepodległość swoją musiała okupić ciężkimi ofiarami, stając do walki w obronie kraju i zagrożonej bolszewizmem Europy.

„Rok 1920 — pisał Piłsudski w przedmowie do swojej książki pod tym tytułem — pozostanie w dziejach co najmniej dwóch państw i narodów rokiem długo pamiętnym. Na ogromnej arenie, pomiędzy brzegami Dniepru, Berezyny i Dźwiny, a z drugiej strony, Wisły, rozstrzygnęły się w walce wojennej losy nasze, polskie,

i sąsiedniej z nami sowieckiej Rosji. Rozstrzygnięcie walki rozstrzygało zarazem na okres pewien i losy milionów istot ludzkich”.

W początkach tego roku, Józiovi, jako studentowi Akademii Sztuk Pięknych, przysługiwał kilkumiesięczny urlop. Wrócił więc do Warszawy na Szczyglą, gdzie niebawem miał też zamieszkać tymczasowo nasz Ojciec. Ale tu doszła nas wiadomość, że Dymitr Mereżkowski z żoną Zinaidą Hippus, Dymitrem Fiłosofowym i ich sekretarzem, Żłobinem, wydostali się z Rosji i przez Wilno i Mińsk dążyli do Warszawy, licząc na pomoc Józia i jego świeżo zawartą w Piotrogradzie przyjaźń.

Przyjąc należycie i pomieścić tę grupę znakomitych i znękanych głodną i mroźną zimą piotrogrodzką gości nie było łatwo. Warszawa, jej hotele i pensjonaty były przepełnione uchodźcami ze wschodu. Znalazły się jednak jakieś pokoje w Hotelu Krakowskim przy ul. Bielańskiej. Po różnych korowodach, poruszeniu odpowiednich czynników, zapoznaniu się z ludźmi ze sfer rządowych i z polskimi pisarzami, ustalono daty odczytów Mereżkowskiego po francusku i po rosyjsku. Odbyły się one, zdaje się, w Hotelu Brühla, Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, budząc żywe zainteresowanie treścią i samą postawą prelegenta.

Powołując się na prorocze wizje Mickiewicza z jego wykładów w *Collège de France*, na mistyczny patriotyzm poety, żarliwą wiarę i misję Polsce przeznaczoną, słaWił Mereżkowski tę Polskę, odwieczne przedmurze chrześcijaństwa, stawiającą dziś jak przed wiekami czoło barbarzyństwu i zbrodni w obronie cywilizacji zachodniej.

Z jego historycznych powieści, tłumaczonych na wiele języków, znałam wtedy tylko *Leonardo da Vinci*, jedną część trylogii, której pozostałymi były *Juliusz Apostata* i *Piotr Wielki*. „Leonardo” pozostał mi żywo w pamięci, jako obraz epoki i osobowości artysty, później poznałam

jego dzieło kapitalne „Tołstoj i Dostojewski”, upowieściowaną historię Dekabrystów.

W Mińsku Mereżkowski mieszkał w monasterze monaszek, tam poznał go Edward Woyniłłowicz i poświęcił mu kilka uwag w swoich wspomnieniach².

„Na śniadaniu u kuzyna mego Aleksandra Wańkowicza w Mińsku poznałam się ze słynnym Mereżkowskim, którego utwory prawie wszystkie czytałam. Z Mereżkowskim jechała jego żona, publicysta Fiłosofow, poeta Żłobin. Cała ta kompania rozpoczęła objazd: Mińsk, Wilno, Warszawa — za granicą, z myślą przewodnią: Rosja sama powstać i odrodzić się nie może. Trzeba nowych „Wariagów”, tymi Wariagami muszą być Polacy, muszą bolszewików pobić, Moskwę zdobyć, Rosję uporządkować, zorganizować i wprowadzić w federację narodów słowiańskich. Jeżeli Polska nie podejmie się tej misji dziejowej obecnie, nigdy się ta chwila już nie powtórzy i Rosja będzie musiała wpaść w objęcia Niemiec, które następnie, wspólnie z Rosją Polskę zduszą”. Z tą orientacją był Mereżkowski u gen. Żeligowskiego, dowódcy grupy operacyjnej na froncie białoruskim. Ten prosty żołnierz wysłuchawszy, rzekł: „Bardzo dobrze, wezmę 10 dywizji i za dwa tygodnie Moskwa będzie w polskim ręku, ale ona nam niepotrzebna, więc po wzięciu, komu profesorze, każesz ją oddać?”. Mereżkowski nie potrafił na to dać odpowiedzi i w tym bodaj leży cały tragizm pozycji Rosji.

W 1920 roku Mereżkowski miał około 60-ciu lat — małego wzrostu, wąty, o siwiejącej bródce i niezwykłym spojrzeniu jasnych oczu, przenikliwym i otwartym, było w nim coś z proroka i coś z prostoty i ufności dziecka, miał chód lekki i cichy, trochę koci.

Zinaida Hippius, niegdyś efektownie piękna, wtedy około 50-ki. Malowała włosy na jaskrawą rudość, szmin-

2. Edward Woyniłłowicz, *Wspomnienia 1874-1928*. Cz. I, Wilno, 1931, str. 268-269.

kując dość niedbale twarz, bo miała bardzo krótki wzrok i posługiwała się *face à main* (dziś zupełnie wyszłym z mody), aby nie używać szpecących twarz okularów. Była oryginalną i wybitną poetką. Jej liryczne wiersze o mocnym rytmie i klasycznych rymach, łatwe do zapamiętania, zachwycały nas i dotychczas zachowały się w naszej pamięci. Typowa Rosjanka, o bardzo na owe lata śmiałych poglądach, głęboko religijna, szukająca porozumienia prawosławia z katolicyzmem, była niezwykle, imponującą nam postacią.

Dymitra Fiłosofowa poznaliśmy i pokochaliśmy dopiero znacznie później.

Nastała upalna wiosna, kurz i gwar miejski nękały Mereżkowskich, uprosiliśmy więc Henisiów Przewłockich, aby przyjęli ich choć na kilka tygodni, jako że nie zamierzali pozostać w Polsce zagrożonej, a mieli jechać, dalej, kierując się na Paryż. Perspektywa pobytu na wsi, bżów i słowików, rozpromieniła Dymitra Siergiejewicza dziecinną radością. Józio spytał Fiłosofowa, czy nie zechciałby towarzyszyć Mereżkowskim... „Nie chcę ani bżów, ani słowików — odparł — za dużo widziałem krwi” i wyszedł z oczami pełnymi łez. Wynajął wówczas na ul. Siennej mały pokoik na 3-cim piętrze u bardzo wulgarnej, niemieckiej Żydówki i w tym pokoju, gdzie mieściły się zaledwie najpotrzebniejsze meble, z przyznanym mu niebawem telefonem, przetrwał długie lata jako redaktor rosyjskiej gazety *Swoboda*, wznowionej po konfiskacie pod nazwą *Za Swobodu*, głosu Rosji demokratycznej, ani carskiej, ani bolszewickiej, głosu tzw. trzeciej Rosji.

Przewłoccy zgodzili się na przyjęcie rosyjskich gości, mimo że Karła była w bardzo już posuniętej ciąży. Odwieźliśmy koleją całą trójkę. Mereżkowski bał się tłumu żołnierskiego: *legionierzy mienia zatałkajut** — powtarzał strwożony. Ale wszystko odbyło się składnie,

* „Legioniści mnie zadepczą”.

gości odprowadziliśmy do pokoi im przeznaczonych na piętrze, Karla czekała z herbatą na parterze. Ale goście nie schodzili i słychać tylko było dziwne na piętrze łomoty. Okazało się, że wszyscy troje zaczęli od prze-meblowywania swoich pokoi, wymiany jednych mebli na drugie. Na okazane zdziwienie Józia: „jak to, nie wiesz — wyjaśnił Mereżkowski, że człowiek żyje z meblami i musi je w tym celu odpowiednio ustawić?”.

Ogród był w kwiatach, a noce księżycowe drżały pieśnią słowiczą, basowy rechot zab dopełniał koncertu. Goście zamykali na noc okna, słowiki nie dawały im spać!... W najdalszym kącie stawu parkowego para łabędzi wyrywała z mułu młode pędy trzciny i układała je, budując gniazdo. Goście odpoczywali, zajęci swymi problemami i pisaniem, nie wadząc nikomu z domowników. 13 maja urodziło się szczęśliwie Henisjom pierwsze ich dziecko, córka Róża.

Nikt z nas młodych nie zdawał sobie wtedy sprawy ze stałego zagrożenia kraju i tego szczęśliwego, spokojnego domu, ani z tego, że po tamtej stronie, za ledwie zabezpieczonej granicy wschodniej, na przestrzeni około tysiąca kilometrów, skupiają się i przesuwają wrogie Polsce siły, gotując natarcie.

Wyprawa Kijowska

Uprzedzając ten atak Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny postanowił wesprzeć wojska ukraińskie pod dowództwem Petlury, uwolnić Ukrainę i nadać jej rząd demokratyczny. Kijów został zdobyty, ale nie mógł być utrzymany. W początkach maja Piłsudski był z powrotem w Warszawie i na stopniach kościoła Trzech Krzyży przyjmował defiladę pośród powszechnego entuzjazmu. Witano go jak zwycięzcę. Stał oparty na szabli, ponury, zasępiiony — wiedział, że odwrót już się zaczął i że lada dzień nastąpi kontrofensywa czerwonych.

W maju wystosował Józio prośbę o ponowne przyjęcie go do pułku Ułanów Krechowieckich po rocznej służbie, jako szeregowy, w pociągu pancernym. Z powrotem przyjęty wyruszył do pułku.

Na dworcu w Warszawie spotkał wtedy Augusta Zamoyskiego, młodego wówczas, niebawem znakomitego rzeźbiarza i zapalonego sportowca, ówczesnego męża tancerki, Rity Sacchetto.

Warszawa, zagrożona, wyludniała się. August był właśnie zajęty nadawaniem na bagaż do Zakopanego licznych kufrów ze strojami żony. Józio nie znał wtedy bliżej Augusta, który zdziwił się, widząc go w mundurze.

„Pan zmienia przekonania, jak rękawiczki”... — zauważył. — Przymówka Zamoyskiego była celna, ale w danej chwili krzywdząca, bo Józio właśnie jechał do pułku, na walczący front południowy.

W wyprawie kijowskiej zginął Henryk (Haryś) Plater-Zyberk, brat Ignacego, przyszłego męża siostry Rózi.

Szczupły, jasny blondyn o cienkich rysach. Koń ranny przywalił jeźdźca, obskoczony przez Kozaków broń się, póki starczyło kul w pistolecie — ciała nie odnaleziono.

Tego lata zginął też Stanisław Radziwiłł adiutant Piłsudskiego. Pamiętam z tamtych czasów, że Naczelnik ceniąc wysoko Stanisława Radziwiłła myślał jakoby o wykorzystaniu go w oparciu o tradycję jego historycznego rodu w ramach politycznych zjednoczonej z Polską Litwy.

Śmierć Stanisława odczuł Piłsudski boleśnie i wspominał go po latach z okazji swojej bytności w Nieświeżu, stwierdzając, że był „hardy i twardy”.

1-szy pułk Krechowiecki, w którym służyli wszyscy nasi, Józio jako podporucznik, Staś — szeregowy, zabezpieczał odwrót spod Kijowa.

Wobec posuwającej się na całym froncie w głąb kraju Czerwonej Armii, Piłsudski uznał konieczność wycofania

z frontu południowego dwóch dywizji i przerzucenia ich na front północny. Cała jazda i najlepsze dywizje piechoty miały zatrzymać ofensywę Budiennego i za wszelką cenę przeszkodzić jego konnej armii w jej pochodzie na północ.

W krótkich obrazach, znakomity pisarz, Izaak Babel, dał nam jako korespondent wojenny wyobrażenie czym była ta ledwo uzbrojona, nieprzeliczona chmara zdziczałych i głodnych czerwonych kawalerzystów. Nie armia to była, a żywioł rewolucyjny, zbiegły z całej Rosji na bój sycony nienawiścią, zażarty i mściwy w stosunku do „pańskiej Polski”. Bez zaopatrzenia, pod groźbą nagarów, rekwirowali chłopom ostatnie ich zapasy, wściekle oporne puszczali z dymem, podpalali ule, aby z nich miód wydrzeć, wyginęły tego lata pszczoły na całym Wołyniu.

„Jęk bije od wsi — pisze Babel — kawalerzyści rekwirują konie robocze, zostawiając w zamian swoje ochwacone szkapy... Opar tajemnego morderstwa włączył się koło nas”.

Po stronie przeciwnej w szeregach polskich walczone z podobnym zapamiętaniem w obronie ledwo odzyskanej ojczyzny, kładąc tamę tej nieobliczalnej w atakach, odstępowaniu i okrażaniu nawale, w walce bez pardonu, nieraz wręcz, na szable i pistolety. Ostatnia to była w historii kawaleryjska wojna na wzór oporu stawianego niegdyś przez rycerstwo polskie tatarskim i kozackim zagonom — ostatni pojedynek oko w oko.

Po zamknięciu roku szkolnego, zostałam bez przydziału w niepewnej swego losu i opustoszałej Warszawie.

Na murach, chodnikach i jezdniach, kredą lub węglem były wypisane hasła — wszędzie te same: Do broni! Do szeregów!

Skomunikowałam się z siostrą Lilą i za zgodą dr. Bonasewicza, szefa jej sanitarnego pociągu, dołączyłam do nich. Pociąg, po krótkim postoju na dworcu Wschod-

nim, miał znów ruszyć na wschód. W pociągu pracowały już, poza Lilą, dwoma naszymi kuzynkami, Niną Plater-Zyberk i Zosią Potulicką oraz Ninką Ronikier, jeszcze dwie inne siostry: Tomaszewska i Bronka, której nazwiska nie pamiętam — narzeczona szefa. Zespół lekarzy i siostr był zżyty i bardzo sympatyczny, zostałam przyjęta najżyczliwiej jako siła pomocnicza.

Pociąg woził rannych i chorych ze szpitali i lazaretów przyfrontowych, kierując ich do szpitali w Wielkopolsce. Armia Czerwona była już na Bugu. Pociąg nasz tym razem dojechał jedynie do Siedlec, gdzie w pośpiechu i trwodze, po nocy, ładowano chorych, przeważnie dyzenteryków, doczepiając towarowe wagony, skąpo słomą wymoszczone, aby móc wszystkich załadować. Nie pamiętam, czy byli też ranni, chyba nieliczni.

Dr Bonasewicz orzekł, że to nie tyle dyzenteria, co dezenteria. Żołnierze w rozsypce, opanowani trwogą dostania się do niewoli, zbiegali masowo, żywiąc się niedojrzałymi owocami.

Wagony naszego pociągu ociekały krwią i kałem. Chorzy, osłabieni, nie byli w stanie zwlekać się z górnych półek do ubikacji. Dr Bonasewicz, krotochwilny nawet w tej groźnej chwili, radził nam obchodzić wagony z parasolem.

Na stacjach wielkopolskich czekali nas sanitariusze z noszami. Siostry w białych kitlach, ale też strojne panie przy kioskach z napojami; uderzający nas kontrast ładu, organizacji i bezpieczeństwa tych dalekich tyłów z popłochem Warszawy... Mnie zlecono spisywanie nazwisk wyładowywanych z towarowych wagonów żołnierzy.

Dzień był upalny. Stałam na deskach, opartych o brzeg wagonu i spisywałam. Nie pamiętam jaka to była stacja, ale nie zapomnę wagonu z ostatnim rannym żołnierzem. Leżał na garści zmierzwionej słomy, we własnych ekskrementach, w których roilo się już od robactwa. Na moje zapytanie o imię i nazwisko odparł z trudem, prawie krzyknął: Łazarz! Czy tak się nazywał,

czy też czuł się Łazarzem z przypowieści ewangelicznej?

Pustym pociągiem wracaliśmy do Warszawy w upalny dzień lipcowy. Wieści z frontu — najgorsze. Piłsudski przygotowywał swoją decydującą o losach wojny bitwę.

Ranienie Stasia

W Warszawie czekała na nas depeza od Józia: „Staś ciężko ranny, flegmona gazowa, stan nie beznadziejny!”. Dr Bonasewicz zwolnił nas obie natychmiast i zaopatrzył w potrzebne papiery. Wbiłyśmy się na dworcu Głównym do przepelnionego uchodźcami z Warszawy wagonu i nazajutrz, przewidując najgorsze, stanęłyśmy we Lwowie dokąd Józio odwiózł Stasia i odjechał z powrotem na front. Nasz Ojciec z Rózią byli już też we Lwowie. Staś był uratowany. Leżał z ogromną raną na piersi, w okolicy serca, właściwie dziurą, w której bulgotała krew za każdym uderzeniem serca. Po ciężkiej operacji z resekcją żeber, konieczną w celu oczyszczenia rany i usunięcia odłamka szrapnela, który leżał na osierdziu ale cudem serca nie przebił. Miał ponadto poważną, zakażoną ranę na stopie, lżejszą na głowie. Był przytomny i bardzo cierpliwy. Rózia, najbliższa mu wiekiem i życiem siostra, nie odstępowała go.

Posłużę się tu częściowo relacją tego wypadku, spisaną przez Józia na miejscu.

„A było to tak: przy marszu na Brody, które miano zdobywać, pułk był oskrzydłony i ostrzeliwany z tyłu i nagle dowiaduję się, że dowódca pułku mnie wzywa i każe iść do 4-go szwadronu, bo mój brat jest ciężko ranny, że inny oficer musi mnie zastąpić; był tam most na rzece, przez który przechodziliśmy. Na moście stał dowódca Dziewicki, pytam — czy brat ciężko ranny? — Ciężko. Z serca mu jestem wdzięczny za to szczere

uprzedzenie. To było niedaleko. Staś leżał na asfalcie przed jakąś willą, miał głowę we krwi, rany na piersi i na nodze odłamkami szrapnela.

Rana na głowie wydawała się najcięższa, ale okazała się powierzchowna. Otaczają go koledzy, ułani dają mu wódkę, żeby coś wypił. Co robić? Gdzie wieźć? Jesteśmy zupełnie oderwani od bazy. Między nami a Lwowem są bolszewicy. Ale za nami, o jakie pięć kilometrów następuje jeszcze oddział Hallerczyków i tam jest jakiś punkt sanitarny. Bierzymy chłopski wóz, pierzyny z tej willi i ładujemy rannego na wóz. Zjawia się doktor, nasz znajomy, doktor pułkowy, bada Stasia: rana na sercu... *Do nocy nie dożyje...* A ja myślę, trudno, zobaczymy! Wiozę go, upał, zachodzi słońce, wszystkie studnie wyczerpane, po przejściu kawalerii, na dzień trochę zmąconej wody, a on wciąż prosi: pić! pić! pić! Leży na wozie i pyta mnie: czy jest ciężko ranny i czy będzie żył? Ja mówię: nie wiadomo, jesteś ciężko ranny, ale bądź spokojny, spełniłeś swój obowiązek w obronie Polski... coś mu takiego wzniosłego klaruję, a on na to: 'Nie gadaj głupstw, staruszk!' To był cały Staś. Droga pełna była zaschniętego błota i dziur zawałonych faszyną, deskami, drągami. Wóz skacze po tych dołach, a on coraz to mówi: *ja nie mogę — zatrzymajcie! ja wolę umrzeć... tak boli...* Wobec tego nie jadę dalej, widzę, że on może umrzeć w drodze. Wchodzę do najbliższej chaty i okazuje się, że mieszka tam lekarz wojskowy z tego punktu, do którego jechałem. Więc wnosimy Stasia do tej chaty. Lekarz go znów bada, kładzie do łóżka, ale uprzedza mnie że nazajutrz o 6-tej ze swoim oddziałem wyrusza z naszym pułkiem na wschód na pozycję, a Staś leży ledwo żywy i zaczyna gorączkować. Ten drugi lekarz sądzi, że nocy nie przeżyje...

Przychodzi ranek, a on żyje. No, myślę, dwóch doktorów obiecało mu śmierć, a on żyje, to może jeszcze uda się go uratować. Walimy go znów na ten wóz, do pasa gołego, przykrywamy prześcieradłem, wóz wygląda

jak mary, i w ten upał ruszamy, dokąd? Z powrotem do naszego pułku, który idzie na Brody, cofać się nie można, bo za nami bolszewicy. Pułk nas mija, żołnierze żegnają Stasia, spotykamy po drodze dowódcę, mówi mi: 'bałem się, że pan porucznik wiezie trupa...'. W lesie postój — ustawiam wóz w cieniu, siadam pod drzewem i natychmiast zasypiam, bo w ogóle w ciągu tych nocy prawie nie spałem; budzę się nagle i nie wiem, gdzie jestem, gdzie mój pluton?... Koń? — Zaczynam wołać — a tu Staś na wozie... Docieramy do Brodów, już zajętych, aż tu zajeżdża pociąg, same otwarte lory. — Kolejarze przeskoczyli bolszewików i od Lwowa dotarli do Brodów. 'Dawajcie rannych! Zaraz się cofamy...'. A ja właśnie tu się znalazłem! Zmierzcha, ładujemy Stasia do pociągu z wysoką już gorączką, ja z nim, cofamy się do jakiejś stacji, zdaje się, to było Krasne. Tam stoi pociąg sanitarny z oddziałem chirurgicznym szpitala Ujazdowskiego, przyjmuje nas młody chirurg, dr Kołodziejski, przenosimy Stasia — obok na noszach leży młody chłopak, ranny w brzuch. Obu mają operować. Stasia pierwszego kładą na stół operacyjny. Doktor stwierdza zakażenie, flegmonę gazową. Gdyby rana była na ramieniu, czy nodze, trzeba by amputować, wyciąga z rany strzęp brudnej koszuli, rozcina ranę szeroko, na krzyż, żeby krew spłynęła, przenoszą go, nieprzytomnego, do innego wagonu, a obok żołnierzyk o spokojnej, prawie dziecinnej twarzy, patrzę — a ta twarz nagle martwieje, kamienieje — umiera! A ja mam Stasia... Z Krasnego telegrafuję do ojca i sióstr, jeszcze ta noc — zakażenie ustępuje. Stasia dowożę do Lwowa, do szpitala, oddaję w pewne ręce, a sam wracam do pułku. Ojciec, Różia i obie starsze siostry przyjechały zaraz, ale już ich nie widziałem. I jeszcze to, że Staś miał na szyi złoty krzyżyk na łańcuszku, który mu zdjąłem i ten odłamek szrapnela, który mógł być śmiertelny, trafił w ten krzyżyk, był cały zgięty — wytrzymał cios pocisku!''.

Lila wróciła po kilku dniach do swego pociągu, Papa do swoich spraw w Warszawie — ja zostałam z Rózią przy Stasiu.

Z kolei Lwów był zagrożony, Budienny następował, zaczęto ewakuować szpitale, załadowano znów Stasia, z innymi rannymi, jeszcze bardzo słabego i zbolełego do towarowego wagonu. Rózi pozwolono mu towarzyszyć. Wstrząsy wagonu były męką dla rannego. Szpitale krakowskie były przepełnione. Mieszkałyśmy obie u profesora Kadera, serdecznego przyjaciela naszej rodziny, kolegi Papy z Dorpatu.

Przy pierwszej możliwości powrotu Stasia do sił Radziwiłłowie z Balic zaprosili go do siebie na rekonwalescencję. I tu należy zrobić dygresję:

Ksiązę Dominik Radziwiłł z Balic pod Krakowem był rodem z Wilna i w dzieciństwie bywał u naszej prababki, Fabianny Karolowej Czapskiej z Obuchowiczów, osiadłej na stare lata w Wilnie. Potomstwo ks. Konstantego z trzeciej żony, z Karnickich, było liczne: sześciu synów i trzy córki, a Czapscy byli wtedy lepiej sytuowani, aniżeli rodzina ks. Konstantego. Wuj Dominik — najmłodszy z braci — nosił po nich ubrania, jak sam nam opowiadał, i pilnie strzegł ich czystości, poczytywano mu to za zasługę, mimo że chodziło mu o własny interes, jako że miał te ubrania dziedziczyć. Pokrewieństwo z Radziwiłłami było jeszcze bliskie, bo Karol Czapski rodził się z Weroniki Radziwiłłówny, stąd łaski naszej prababki, wdowy po Karolu, dla młodych Radziwiłłów, po których posyłała starą karetę, a wezwawszy do swego sypialnego pokoju, obdarzała każdego pomarańczą. Te stosunki sprzed lat pamiętał wuj Dominik życzliwie, kiedy w Paryżu weszło w zwyczaj, że za każdą naszą wizytą na La Tour Maubourg, gdzie wuj mieszkał z córką Dolly, wtedy żoną Leona Radziwiłła, płacił nam tak-sówkę, przypominając pomarańcze prababki i jej starą karetę. Pewnego bowiem dnia — opowiadał — dno karety się obsunęło i obaj bracia musieli na dnie karety

biec piechotą po wileńskim bruku. Wuj lubił opowiadać, trochę może koloryzując epizody.

Ks. Dominik ożenił się z Hiszpanką, bardzo bogatą wdową po plantatorze kubańskim; ks. Dolores była w dodatku piękną i zacną... Syn ks. Dominika, Hieronim, poślubił Renatę Habsburg, córkę arcyksięcia Karola z Żywca.

W początkach wojny księstwo Dominikowie, uchodząc z Nieświeża w obawie okupacji niemieckiej, z zamiarem dotarcia do Balic, zatrzymali się po drodze w Przyłukach, gdzie ich gościliśmy w ciągu kilku dni. Dzięki swoim stosunkom i protekcjom, mimo frontów wojennych, przez Rumunię dotarli do swoich Balic, bo Radziwiłłom wszystko było możliwe! Otóż pomarańcze prababki i gościna w Przyłukach, oraz odruchowa sympatia dla nas Renaty Hieronimowej Radziwiłłowej, dzięki chyba naszej matce, Austriaczce, bo znajomość nasza była całkiem przelotna — przyczyniły się do zaproszenia Stasia na rekonwalescencję do Balic, dokąd dojeżdżaliśmy i gdzie Staś spędził kilka spokojnych tygodni, aż do całkowitego powrotu do zdrowia.

Cud nad Wisłą

W tym czasie śmiertelnego zagrożenia Polski, kiedy ważyło się życie Stasia i tylu innych, Piłsudski ustalił swój plan wielkiej bitwy, bitwy historycznej, nazwanej później Cudem nad Wisłą.

Istotnie cudem było że kraj, zaledwie wyzwolony, o armii nieskompletowanej, niescalonej, w dużej mierze nieprzeszkolonej, ochotniczej, zdołał stawić opór następującej czerwonej armii, rozbić ją, rozproszyć i wyprzeć poza granice kraju.

Ci, co poszli wtedy do szeregów wojskowych, należeli do wszystkich klas i sfer, od możnych obywateli do

chłopów bezrolnych, do bezrobotnych — tych, którzy niczego własnego nie bronili, bo nic nie mieli, ale poszli bronić ziemi ojczystej i jej odzyskanej niepodległości; jak za najazdów tatarskich stało to pospolite ruszenie murem obronnym w obliczu wroga napierającego od Wschodu, tego nowego wcielenia czerni tatarskiej, niszczącego żywiołu zagłady i grabieży.

„Wojska Czerwonego Sztandaru — głosił rozkaz głównodowodzącego, Michała Tuchaczewskiego — gotowe są walczyć do śmierci z wojskiem białego orła; musimy utopić zbrodniczy rząd Piłsudskiego w krwi zmiażdżonej armii polskiej... Droga do światowego pożaru wiedzie przez trupa Polski”.

Na opustoszałych ulicach Warszawy, którą przemierzyliśmy z Lilą w drodze do Lwowa, pozostał krzyk napisów: „Do broni! Na front! Do szeregów!”.

W swojej pracy o bitwie Warszawskiej gen. Weygand stwierdza, że w ciągu trzech dni, które Naczelnik spędził wśród swych wojsk, zelektryzował je i potrafił przekazać ze swej duszy w duszę kombatantów swoją ufą wiarę i swoją wolę tryumfalnego pokonania wszystkich trudności. „Nikt inny — zdaniem gen. Weyganda — nie mógłby się o to pokusić”.

„Wyzyskanie zwycięskiego ataku — stwierdził ponadto Weygand — było prowadzone mistrzowską ręką, z szatańskim rozpędem i namiętą energią głównodowodzącego, który nie dał zaskoczonemu nieprzyjacielowi odetchnąć, rozbił go na miejscu i jego skoncentrowaną na Warszawę ofensywę przekształcił w bezładną, paniczną ucieczkę”.

Na plebanii w Wyszku

Ofensywy Czerwonej Armii rząd sowiecki nie zaniebdał zaopatrzyć w trzyosobowy zespół przyszłych wielko-

rzadców podbitego kraju. Byli nimi *Julian Marchlewski*, stary komunista, historyk najnowszych dziejów Polski i Rosji, *Feliks Kon*, członek warszawskiego „Proletariatu”, szczerzy marzyciel i utopista, oraz *Feliks Dzierżyński* fanatyk, naznaczony krwią niezliczonych ofiar. Ten ostatni, zdaniem Kremla, nadawał się niezawodnie na ministra spraw wewnętrznych podbitego kraju, który by się podjął masowej likwidacji kontrrewolucyjnych polskich elementów.

Wylądowali naprzód w świeżo przez Czerwoną Armię zdobytym Białymstoku, uroczyście przyjmowani w obecności spędzonej na plac miejski ludności wzniosłą i groźną mową samego Tuchaczewskiego.

Wszyscy trzej przez Moskwę mianowani „władcy” zbliżyli się potem do następującego na Warszawę frontu wojennego i osiedli tymczasowo w Wyszkuwie, w pobliżu Radzymina, w plebanii ks. kanonika Mieczkowskiego. Otoczeni silną, uzbrojoną strażą, mieli do dyspozycji luksusowy samochód i wdawali się z ks. Kanonikiem w długie kontrowersje, wyjaśniając mu ideologię bolszewizmu od strony dogmatycznej.

Ale równie prędko, jak zjechali do Wyszkuwa, ruszyli w popłochu do odwrotu, na odgłos strzelaniny zza Bugu, po dwutygodniowym pobycie na ziemi polskiej. Ruszyli tymże luksusowym samochodem, w otoczeniu swojej osobistej eskorty.

Stefan Żeromski opisał ten epizod pt. „Na plebanii w Wyszkuwie”, sprawdzwszy na miejscu okoliczności zdarzenia.

Relacja Żeromskiego nie była nigdy drukowana w Polsce Ludowej, nie ukazała się w żadnym zbiorowym wydaniu jego pism, ogłosiły ją emigracyjne *Zeszyty Historyczne* w Nrze 15-tym (Paryż, 1969).

„Gdym pod wieczór wracał ku zachodowi — pisał Piłsudski, wspominając ten niesamowity przełom wojenny z 1920 roku — po pięknej szosie w stronę Gar-

wolina, wydało mi się, że jestem gdzieś we śnie, w świecie zaczarowanej bajki.

„Nie rozumiałem właściwie, gdzie jest sen, a gdzie prawda. Czy śniłem wtedy, gdy jakaś zmora dusiła mnie jeszcze tak niedawno swą nieprzepartą siłą ustawicznego ruchu, zbliżającego potworne łapy do śmiertelnego ścisku gardła, czy śnię teraz, gdy pięć dywizji swobodnie i bez oporu przebiega śmiało te same przestrzenie, które jeszcze tak niedawno w śmiertelnej trwodze oddawały nieprzyjacielowi”.

Szczytowy punkt zwycięskiej kontrofensywy nad Wisłą przypadł na połowę sierpnia, Wniebowzięcie, święto Matki Boskiej Zielnej. W kościołach wierny lud składał dawnym zwyczajem u stóp ołtarzy wiązanki kwiatów i kłosów, czerwone i złote jabłka, płody tej ziemi cudem wyzwolonej.

... Przed Twe ołtarze zanosim błaganie

— śpiewano w uniesieniu —

Ojczyznę wolną, racz zachować Panie!

W końcu roku Józio, po kilkumiesięcznym jeszcze wojskowym przeszkoleniu, został zdemobilizowany. Staś osiadł w Poznaniu, gdzie podjął studia muzyczne w poznańskim Konserwatorium. Stryj Bogdan był skłonny wyznaczyć go spadkobiercą swego dużego majątku i zabezpieczyć okres projektowanych studiów, ale Staś, obojętny na sprawy materialne, bawił się, śpiewał, rozchwytywany towarzysko. Cieszył się wielkim miem u kobiet, ale o łaski stryja nie zabiegał. Rzetelnie studiował, grał dużo aż do nadwerżenia jednej ręki, ale żenić się z wybraną przez stryja posażną panną nie zamierzał. Stryj, zniechęcony, nie cofnął mu przeznaczonej na studia subwencji, ale na swego spadkobiercę wyznaczył Emeryka, naszego stryjecznego brata, którego następnie prawnie adoptował, tak bardzo mu Emeryk pod każdym względem odpowiadał.

Tej jesieni wróciłam do mojej szkoły. Wynajęłam mały pokój na Nowym Świecie, gdzie mnie odnalazł młody Downar, syn przyłuckiego fornała. Wstąpił w owe lata do wojska i był jakiś czas ordynansem naszego późniejszego szwagra, Ignacego Plater-Zyberka; zdemobilizowany znalazł w Warszawie posadę, zdaje się woźnego przy jakimś ministerstwie. Wojna jeszcze trwała, Czerwona Armia odstępowała, komisje obu państw przygotowywały w Rydze preliminaria traktatu pokojowego.

„Czy wrócimy do domu, panienko?” — pyta mnie nieśmiało Downar — upewniam go, że wrócimy, że Naczelnik Polski wszystkie dawne ziemie polskie chce odebrać bolszewikom (sama tak sądziłam i tego się spodziewałam!).

„Bo tak mnie się wydaje — oświadczył po którejś wizycie mój gość, że człowiek musi umierać tam, gdzie się urodził, nie w cudzym kraju... tak, że ja, co by nie było, chcę wracać do domu...”.

Nie wiem, czy odnalazł „dom”, czyli kraj i swoich, bo straciłam go z oczu, ale dziś wiem, jaki los go czekał, byłego polskiego żołnierza, pod sowieckim zaborem...

Późną jesienią całe nasze rodzeństwo zjechało do siostry Przewłockiej, na ślub Rózi, naszej najmłodszej, z Ignacym Plater-Zyberkiem.

Ślub odbył się bardzo cicho, w obecności tylko kilku kolegów pułkowych Ignacego Bardzińskiego i Jełowickiego z żonami i Bohdana Rosseta, tzw. „Bebusia”. Świeże jeszcze były rany i wstrząsy tego strasznego roku — 1-szy pułk Krechowiecki, w którym wszyscy nasi służyli, stracił w bitwach trzydziestu kilku oficerów, w ich liczbie brata pana młodego.

Traktat Ryski

Od września 1920 roku obradowała już w Rydze konferencja pokojowa, najwybitniejszym przedstawicie-

lem delegacji polskiej był Stanisław Grabski, doświadczony i świadomy swych celów polityk, pod jego wpływem, ku zdumieniu delegacji sowieckiej, przedstawiciele polscy nie chcieli skorzystać z czynionych im ustępstw terytorialnych. „Jak najmniej mniejszości narodowych w państwie niezdolnym do ich asymilacji” — takie było hasło narodowej demokracji, które Grabski podzielał, w przeciwieństwie do planów Piłsudskiego i jego idei wskrzeszenia Polski Jagiellońskiej. Granica ustalona w Rydze przepołowiła Białoruś, Pińsk został po naszej stronie, Mińsk po sowieckiej!

Traktat Ryski przekreślił tradycję Wielkiego Xięstwa Litewskiego, zjednoczonego z Polską i zasadę tej unii: wolnych z wolnymi, równych z równymi. Przepoławiając Białoruś traktat Ryski skazywał na straszną niewolę sowiecką i stopniowe wyniszczenie ponad milion ludności, jak najbardziej polskiej, tak miejskiej jak wiejskiej, ludności polskich zaścianków, związanych z Polską tradycjami, wyznaniem, krwią powstańczą, carskimi rugami, Sybirem... odtrącił jednocześnie kilkanaście milionów Białorusinów zachodnich, synów tej ziemi, która wedle słów poety „wzdycha po białorusku, a po polsku śpiewa”³.

Już preliminaria tego traktatu wywołały falę oburzenia i gwałtownych protestów. Prof. Marian Zdziechowski, Mińszczanin, nazwał traktat „zbrodnią... popełnioną z lekkim sercem”. Biskup miński, Zygmunt Łoziński, podobnie z tą ziemią związany i czujny pasterz najdalejszych nadberezzyńskich parafii swojej diecezji, określił traktat jako zdradę stanu i domagał się sądu nad nim. W Sejmie padło słowo „Kain”, a Michał K. Pawlikowski⁴ piętnował obojętność całego polskiego społeczeństwa, zmęczonego wojną, spragnionego pokoju. „I kiedy ludność tego kraju niewinnego — pisał — za wiarę i słowo

3. Stanisław Baliński.

4. Autor pamiętnika: *Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego* (Londyn, 1959) i *Wojna i Sezon* (Paryż, 1965).

była mordowana, więziona, zsyłana do obozów na północy, lub masowo wysiedlana, milczał Sejm, milczała prasa, milczeli pisarze⁵”.

I znowu my, młodzi, nie zdawaliśmy sobie sprawy z klęski politycznej Polski, zwycięskiej na polach bitewnych, ani z tego czym były rezolucje pokoju ryskiego dla naszego Ojca. Nam się zdawało, że to coś tymczasowego, przejściowego.

Zresztą nasze ambicje wybiegały daleko poza kraj rodzinny, ale Ojca traktat Ryski ogołocił ze wszystkiego. Mińsk był jego polem działania. Jako brat byłego prezydenta miasta, Karola Czapskiego, któremu Mińsk tak wiele zawdzięczał, czuł się poniekąd zastępcą b. prezydenta. Łatwy w obejściu, towarzyski, bardzo hojny, był wybierany na prezesa różnych instytucji, jak Związek Ziemi Ziemi Mińskiej, Mińskie Towarzystwo Rolnicze, a następnie Wielkiej Wystawy Rolniczej 1901 roku. W początkach 1920 roku został mianowany marszałkiem szlachty ziemi Mińskiej z wyboru, a nie jak dotąd, od Powstania 1863 roku, naznaczony przez władze rosyjskie. Był ostatnim marszałkiem szlachty przed klęską kraju.

Po traktacie Ryskim, bez mienia i znaczenia, znalazł się nasz Ojciec na łasce zięciów, w gorzkim poczuciu swojej bezużyteczności. Ten sam, lub podobny los przypadł setkom obywateli Białorusi...

Ojciec opuścił Mińsk ostatnim pociągiem przed ofensywą sowiecką na Warszawę i więcej już do Mińska nie wrócił. Biskup Łoziński pozostał na swoim stanowisku i błogosławił krzyżem świętym tych ostatnich polskich obywateli, uchodzących z Mińska. Następnie zapadła żelazna kurtyna i tylko skąpe przedostawały się do nas wieści stamtąd. Biskup Łoziński został wkrótce aresztowany i wywieziony do Moskwy. Kościół katedralny zamieniony na garaż, piękny kościół Woyniłłowiczowski, pod wezwaniem św. Szymona i Heleny, wzniesiony na

5. *Przekleństwo Kainowe*. „Lwów i Wilno”, nr 18, 1947 r.

pamiętkę zmarłych dzieci pana Edwarda — przeznaczony na kino miejskie, trzeci kościół, Złotogórski, spalony, czy też rozebrany. Szkoły z wykładowym językiem polskim, zachowane na żądanie ludności polskiej, służyły jedynie do zohydzenia wszystkiego, co polskie. Nasz dom przyłucki, przeznaczony na dom wypoczynkowy im. Róży Luksemburg dla pracowników państwowych, areszty, wysiedlania, zesłania spadły na kraj nasz w normalnym, bolszewickim trybie.

Minęły znów długie lata. Nastął wrzesień 1939. Polskę podzieliły sobie oba wrogie mocarstwa z granicą na Bugu. 18 miesięcy spędziła wtedy Wanda, kierowniczka gimnazjum w Brześciu, w mińskim więzieniu. Współwięźniarki polityczne siedziały za wierność wierze, za dewocjonalia przemycane przez polską granicę, za krzyżyki, różańce, modlitewniki. W razie rewizji te świętości szły do ognia, ale w popiołach zostawały łańcuszki różańcowe, za te łańcuszki szły kobiety białoruskie do więzienia, na śledztwa, z wyrokami na ciężkie roboty. O co prosiły Wandę te proste, wierzące kobiety, żeby im opowiadała, jak się odbywają w Polsce nabożeństwa, jak pielgrzymki do Częstochowy i Ostrej Bramy, jak procesje Bożego Ciała — a także prosiły usilnie, by im mówiła o Piłsudskim, o Dziadku, jak go nazywały, jak odwojował pół Białorusi, jak zajął Wilno z Matką Boską Ostrobramską, jak żył, jak umierał. On nas chciał wziąć pod opiekę — mówiły — z Polską połączyć, a wy, Polacy, nie chcecie... wy, Polacy!... I tak toczyły się w celi kobiecej mińskiego więzienia, pomiędzy jednym a drugim śledztwem, karcerem albo „oczną stawką” — opowieści o prześladowaniach, krzywdzie i trwodze, rozjaśnione obrazami procesji i pielgrzymek.

W końcu 1920 roku, roku śmiertelnego zagrożenia kraju i jego wyzwolenia, które nazywano Cudem nad Wisłą postanowiliśmy z bratem osiąść w Krakowie, gdzie dziadek nasz zamieszkał na starość i stworzył muzeum swego imienia, gdzie babkę naszą łączyły więzy serdecznej przyjaźni z rodzinami Popielów, Morawskich i Pusłowskich — Kraków był mi bliższy niż Warszawa.

W całym kraju zjednoczonym otwierały się szkoły, uniwersytety, akademie. Mogliśmy wreszcie, po tylu zwłokach, zabrać się do naszych studiów. Ale dla zdobycia praw słuchaczki zwyczajnej na Uniwersytecie Jagiellońskim moja licealna matura sprzed dziesięciu laty nie wystarczała. Musiałam przerobić program 8-mioklasowego gimnazjum klasycznego, do czego zabrałam się z twardą determinacją, mimo moich 27-miu lat. Wiosną 1922 roku zdałam ten maturalny egzamin i zapisałam się niezwłocznie, już jako słuchaczka zwyczajna, na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego, obejmujący poza filozofią ścisłą, polonistykę (język i literaturę), oraz historię kultury polskiej. Moimi profesorami byli Ignacy Chrzanowski (literatura polska), Jan Łoś (historia języka), Stanisław Kot (historia kultury polskiej). Tego pierwszego roku prof. Chrzanowski wykładał o po-

czątkach romantyzmu w Polsce, prof. Łoś — historię języka polskiego. Chodziłam również na jego seminaria paleografii i dotąd zachowałam głęboką wdzięczność za to, co mi dała jego wiedza i umiłowanie języka polskiego. Korzystałam również z wykładów profesora Kota o Reformacji w Polsce i z jego seminarium; pod jego też kierunkiem powstała moja praca doktorska, dopełniona następnie w Paryżu, i wydana pod tytułem *Polemika religijna pierwszego okresu reformacji w Polsce*. Pierwsza moja praca wydana drukiem. Z literatury wybrałam Mickiewicza, poświęcając szczególną uwagę jego epoce mistycznej. Nauka Towiańskiego w natchnionych słowach poety, zdała mi się wtedy pełnym wykładem etyki chrześcijańskiej, wzorem i światłem tamtych lat. Nasz kult Mickiewicza i „mistrza” Andrzeja zdołaliśmy naszczepić naszej siostrze Przewłockiej, która najstarszemu synowi dała na imię Andrzej.

Listy i nauki Mickiewicza z tej epoki, tak niechętnie w biografiiach poety omawiane, były dla mnie rewelacją, chciałam więc dać je poznać bliskim przyjaciółom. Stąd powstało nasze „koło” krakowskie. Zbierało się ono w moim pokoiku, a należeli do niego: Hala Dadejowa-Hoffman związana z nami rodzinną przyjaźnią, historyk i nauczycielka gimnazjalna w Zakopanem (która nam wtedy odkryła zupełnie nam jeszcze nieznanego Norwida), złotego serca przyjaciel Jan Tarnowski z Chorzelowa, Maria Mańkowska, późniejsza zakonnica Sacré Cœur, Stanisław Szczepański, artysta malarz, kolega brata z Akademii, w owym czasie badacz buddyźmu, Jan Janiczek, młody literat, kolega Józia z pociągu pancernego, oraz Maria Mostwin-Górska — poetka. Zbieraliśmy się co tydzień czytając i rozważając pisma mistyczne Mickiewicza; Szczepański wykładał nam istotę buddyźmu, Józio zaczytany w Tołstoju mówił o nim pod kątem jego religijnego światopoglądu.

Najmilsza Władysława Lubomirska, Austriaczka,

może przez pamięć na moją matkę, dała mi do dyspozycji w domu Lubomirskich, na Marka 7, mały pokoik, niezależny, z sionką. Okno tego pokoju wychodziło na brukowane podwórko z jedną lipką i ślepyimi ścianami otaczających kamienic. Ponad tymi ścianami wznosił się tylko szczyt wieży ratuszowej, a klasztorną ciszę przerywał jedynie hejnał Mariacki, znacząc dniem i nocą mijanie godzin. W tym pokoju ograniczonym murami, z widokiem na kamienne podwórko i samotną lipkę spędziłam cztery lata moich studiów i tu przeżyłam początek mojej spóźnionej i trudnej miłości. Długie i naprawdę szczęśliwe godziny spędzałam w Bibliotece Jagiellońskiej, wtedy przy ul. Św. Anny, pod bacznyim okiem p. Aleksandra, stróża i opiekuna lectorium. Z okularami na czubku nosa lustrował ze swego podium całą salę, oceniając zapewne pracę każdego z nas, czuwając nad najbardziej poszukiwanymi tomami podręcznej biblioteki, udzielając je tym komu się należało pierwszeństwo, ze względu na ich pilność.

Z mojego pokoju na Marka, krótką uliczką Reformacką miałam Plantami około dziesięciu minut drogi do Collegium Novum. Kasztany na Plantach kwitły w okresie wiosennych egzaminów, zasypując asfaltową ścieżkę drobnym, białym kwiatem o purpurowym sercu. Niechętnie deptałam ten kwietny kobierzec. Żał mi było kwiatów misternych a także własnej, surowo zdyscyplinowanej, już mijającej młodości.

Spóźniona w studiach przez wojnę, skrępowana swoją innością, nie umiałam nawiązać kontaktu z młodszymi kolegami, wyobcowana z ich grona. Zbliżyłam się jedynie i polubiłam serdecznie Stefę Zdziechowską, bratanicę Mariana Zdziechowskiego (z naszych pochodziła stron) a następnie Dziutę Januskiewicz, Wilniankę. Jako że studenckie imprezy mnie nie kusiły, z wielką zawziętością tkwiłam w książkach.

Po egzaminach drugiego roku akademickiego postanowiłam spełnić złożony na początku wojny ślub i odbyć

pieszą pielgrzymkę do Częstochowy, pielgrzymkę dziękczynną za zachowanie życia obu braci. Józio postanowił mi towarzyszyć.

Wystartowaliśmy z Krakowa w początkach upalnego lipca nocując po gościnnych dworach, albo w chłopskich sadach z plecakiem pod głową. Pod wieczór czwartego dnia ukazała się nam w perspektywie leśnego duktu, wieża Częstochowskiego klasztoru. Pozostawało tylko 7 kilometrów, ale mnie ścięła z nóg jakaś niemoc z gwałtowną gorączką. Leżałam na leśnej polance półprzytomna a Józio kręcił się wkoło i rysował w różnych skrótach moją bezwładną postać. Ostatecznie sprowadził chłopską furmankę, która nas dowiozła do jakiegoś częstochowskiego hoteliku. Nie był to tyfus, jak sądziliśmy, pijąc po drodze z każdej strugi i studni, a tylko skutek przemęczenia. Nazajutrz mogłam wreszcie u stóp cudownego obrazu podziękować Bogu za doznane łaski.

Jednocześnie z Uniwersytetem otwały się bramy krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Mnóstwo młodejzieży zbiegło się wtedy również do starej uczelni i zaczęły się nawiązywać koleżeństwa. Mój brat prędko zbliżył się i zaprzyjaźnił z kilku ambitnymi i utalentowanymi kolegami. Jednym z nich był Jan Cybis, syn gospodarza ze Śląska Zachodniego. Jako że głosował za przyłączeniem kraju do Polski, musiał uciekać z części Śląska przyznanego Niemcom. Po studiach w języku niemieckim we Wrocławiu, trafił bez grosza, źle mówiąc jeszcze po polsku do krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Dołączyli niebawem Artur Nacht-Samborski, syn ortodoksyjnych Żydów z podwawelskiego Stradomia, Zygmunt Waliszewski z Kaukazu, Seweryn Boraczok, Ukrainiec, syn księdza unickiego z Trembowli, Józef Jarema z Nowego Sącza, żywiłowo przedsiębiorczy i pomysłowy, Hanna Rudzka z Lublina, serdeczny towarzysz i opiekunka całej grupy, niebawem żona Cybisa, i paru innych kolegów i koleżanek. W 1923 roku powstał tzw. Komitet Paryski, czyli

związek dwunastu kolegów tzw. „Kapistów”, pod organizacyjnym przewodnictwem Józia.



Zygmunt Waliszewski z miejsca oczarował kolegów i koleżanki zdolnościami „cudownego dziecka”, egzotyką swojej wyobraźni i swoistym humorem. Profesor Józef Pankiewicz przybył z Paryża dla ponownego objęcia, już w Polsce Niepodległej, katedry malarskiej w krakowskiej Akademii. Grupa studentów bliska mego brata i Waliszewskiego odnalazła się cała w pracowni Profesora, którego wieloletni pobyt w Paryżu, bliska przyjaźń z Bonnardem, a przede wszystkim rzadka kultura malarska, stworzyły nieporównaną atrakcyjność jego pracowni.

Waliszewski od razu wybił się talentem na plan pierwszy. Urodzony w Petersburgu, dzieciństwo i pierwszą młodość spędził w Gruzji, gdzie zyskał już, zaledwie dwudziestoletni, niemałą sławę malarską. W 1920 roku postanowił jednak opuścić zrewolucjonizowane imperium i jechać do Polski.

Czytając po latach „Przedwiośnie” Żeromskiego stwierdził jak bardzo opis losu Cezarego Baryki i jego podróży z Kaukazu do Polski był bliski jego przeżyciom z 1920 roku.

Z podróży morskiej zachował się plik rysunków przeze mnie przechowywanych, które zginęły w pożarach Powstania Warszawskiego, 1944 roku. W Krakowie stanął wymizerowany, bez grosza, ale pewny swego talentu i pełen wiary w swoją gwiazdę. Przy bystrej inteligencji, rozległej kulturze malarskiej i dojrzałości talentu — wyróżniała go dziecinna naiwność. Znał różne techniki malarskie, mówił o wielkich malarzach jak o swoich osobistych znajomych, miał pamięć fenomenalną do spraw dotyczących malarstwa, spraw które sobie przyswajał na każdym kroku, bo dosłownie żył tylko malarstwem,

wszystko było mu dodatkiem, pożytecznym dla jego twórczości, lub zbytecznym.

Ale ani kalendarza, ani ortografii, nie zdołał sobie nigdy przyswoić, pytał nieśmiało kiedy przypada Boże Narodzenie, a kiedy Wielkanoc, nie uznawał także o kreskowanego.

Profesor Weiss, jeden ze światlejszych pedagogów uczelni, przeglądając szkice Waliszewskiego, przywiezione z Kaukazu, oświadczył: „Nic już pana Krakowska Akademia nie nauczy, musi pan poznać Paryż!”.

Wkrótce po Zygmuncie wydosłała się z Rosji jego matka. Zygmunt kochał matkę, do której był bardzo podobny, ucieszył się więc nią całym sercem, ale życia mu nie ułatwił jej zazdrosny, kapryśny charakter i uciążliwa podejrzliwość.

Poznałam Zygmunta Waliszewskiego w pracowni mego brata. Uderzyło mnie czujne spojrzenie jego jasnych, szeroko otwartych oczu, swoboda i pewność siebie człowieka świadomego swojej wartości. Od tego pierwszego spotkania i naszego zafascynowania jego osobowością poczuliśmy się oboje odpowiedzialni za los Zygmunta a następnie jego matki. Dzięki protekcjom i naszym zabiegom udało się panią Waliszewską umieścić w zakładzie im. Helełów, a zawdzięczaliśmy to Popielównie, żonie młodego Krzysztofa Radziwiłła, zamożnego ziemianina z ambicjami mecenasa. Krzysztof zamówił u Waliszewskiego akwarelowy portret żony i obraz księcia Józefa Poniatowskiego na koniu. Do tego obrazu przygotowywał się Zygmunt z wielką starannością, studiując w Bibliotece Akademickiej mundury z epoki, damskie stroje, anatomie konia i stworzył na czarnej ceracie, zdjętej chyba z kuchennego stołu — bo na płótno nie było środków, rzecz pełną fantazji i poezji. Książę siedzi na siwym koniu na tle pałacu w Jabłonnie, z kilku damskimi postaciami w głębi, w rozwianej delii, z różą w opartej na kolanie dłoni; głowę w wysokim czaku obla-

tują amorki, jeden pokazuje mu lustro, drugi głosi jego sławę na trąbce.

Wśród rysunków powierzonych mi przez Zygmunta przed jego wyjazdem do Paryża znajdowały się, między innymi, szkice do tych amorków, studia anatomii końskiej, pysków, chrap, kopyt w różnych pozycjach aż po odsadę ogona. Zginęły, podobnie jak tamte z Morza Czarnego. Portret żony Krzysztofa i obraz Księcia Józefa były dobrze zapłacone i dały Zygmuntowi jakiś czas spokojnej pracy.

Już w Krakowie cierpiał Waliszewski na bóle obu nóg i żaden doktor nie umiał wyjaśnić przyczyny tych bóli. Sam Zygmunt sądził, że był to skutek postrzału, pod sam bowiem koniec Wielkiej Wojny uparł się wstąpić jako ochotnik do wojska, chciał bić Niemców, jako że nie znosił ich malarstwa. Zmobilizowany w wieku 16 lat, wysłany na front, został z karabinu maszynowego postrzelony w obie nogi. Nie postrzał jednak był przyczyną tego niedomagania, ale początki strasznej choroby, zwanej chorobą Bürgera, która się w pełni ujawniła dopiero za czasów pobytu w Paryżu i która, po latach męki i pięciokrotnych amputacjach znoszonych z heroicznym męstwem pozbawiła go obu nóg. W ciągu tych lat okrutnych dojrzał w nim artysta nie ustający w pracy malarskiej, rysujący, malujący, chociażby akwarelą, nawet w szpitalach.

Tragedie jego choroby, czasowe przerwy pomiędzy amputacjami przeżywaliśmy wspólnie, szukając wszędzie ratunku pod kierunkiem dr. Marszaka, rosyjskiego emigranta, chirurga, dotkniętego tą samą chorobą i już amputowanego.



Mój brat i wszyscy jego koledzy marzyli o Paryżu, ówczesnej malarskiej stolicy świata, ale na to też trzeba było funduszków. W tym celu w 1923 roku zawiązał się wspomniany przeze mnie komitet paryski. Józia wybrano

„prezesem”, jako że on jeden mówił po francusku. Zebrano wreszcie różnymi imprezami (2 bale, loteria fantowa, przedstawienie w Teatrze Słowackiego) — sumę, która miała starczyć na podróż i sześciotygodniowy pobyt 12 kolegów w Paryżu — sześć tygodni, które się rozciągnęły na lata. Ta grupa artystów zwanych „kapis-tami” przetrwała solidarnie zjednoczona lata trudu i walki, doli i niedoli.

Latem 1924 roku dwunastu kapistów wyruszyło w drogę żegnani owacyjnie przez przyjaciół na dworcu krakowskim.



Co do mnie, tak zżyta z bratem i jego kolegami, zostałam jeszcze rok w Krakowie. W 1925 roku, po zdaniu końcowych egzaminów uzyskałam stopień doktora filozofii, co się równa dzisiejszemu magisterium, ale wówczas obchodzono to bardzo uroczyście, w togach i ze ślubowaniem. Dzięki profesorowi Ignacemu Chrzanoskiemu uzyskałam kilkumiesięczne stypendium z Kasy Mianowskiego dla dopełnienia mojej pracy doktorskiej w Paryżu. W lipcu 1925 roku wyjechałam w tym celu, z zamiarem połączenia się z bratem, Zygmuntem Waliszewskim i ich kolegami.

Tego okresu mego życia, okresu „burzy i naporu”, chyba biograficznie najważniejszego, nie zdołam zmieścić w epilogu.

Był dla mnie początkiem nowej epoki.

BIBLIOGRAFIA PRAC MARII CZAPSKIEJ

- Polemika religijna pierwszego okresu Reformacji w Polsce* (rozszerzona teza doktorska), Kraków, 1928, Krakowska Spółka Wydawnicza.
- La vie de Mickiewicz*, Paris, 1931, „Plon”.
- Ludwika Śniadecka, Warszawa, 1938, Biblioteka Polska 1938 (Nagroda *Wiadomości*). II-gie wydanie: Rzym, 1946; III-cie wydanie: „Czytelnik”, Warszawa, 1958.
- Miłosierdzie na miarę kłesk* (monografia o Zakładzie św. Kazimierza w Paryżu), Londyn, 1954, „Veritas”.
- L'huile de la lampe*, Paris, 1955, Desclées de Brouver. (Adaptacja „Miłosierdzia na miarę kłesk”).
- Szkice Mickiewiczowskie*, Londyn, 1963, B. Świdorski.
- Europa w rodzinie*, Paryż, 1970, „Libella”.
- Une famille en Europe Centrale* (tłumaczenie „Europa w rodzinie”), Paris, 1972, „Plon”.
- Gwiazda Dawida*, Londyn, 1974, Oficyna Poetów i Malarzy.
- L'Etoile de David*, Lausanne, 1977, L'Age d'Homme.

Józef i Maria Czapscy: *Dwugłos wspomnień*, Londyn, 1965, Polska Fundacja Kulturalna.

Dzieła opracowane przez Marię Czapską

- Jadwiga Zamojska, *Wspomnienia*, Londyn, 1961, B. Świdorski (rękopis opracowany, poprzedzony wstępem, zaopatrzony w przypisy i indeks nazwisk).
- Polacy w ZSSR (1939-1942)*. Antologia. Paryż, 1963, Instytut Literacki, tom 88 „Biblioteki Kultury”. (Opracowanie i wstęp).
- E. Czapski, *Pamiętniki Sybiraka*. Z przedmową St. Vincenza. Londyn, 1964, B. Świdorski. (Rękopis opracowany, zaopatrzony w przypisy i indeksy).

SPIS RZECZY

Część I

JESZCZE WOJNA

<i>Wysiedleńcy</i>	9
<i>Romain Rolland</i>	14
<i>Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny</i>	15
<i>K r y m</i>	16
<i>Front zachodni i ofensywa Brusiltowa</i>	17
<i>Zgon Babci</i>	18
<i>Lilcia</i>	20
<i>Mord Rasputina</i>	21
<i>Obchód sienkiewiczowski i nauki Rózi</i>	22
<i>Eskadra lotnicza</i>	23
<i>Stefan Ossowiecki</i>	27
<i>Stoliki</i>	28
<i>Dwie orientacje</i>	29

Część II

REWOLUCJA

<i>Rok 1917</i>	33
<i>Wiosna w Piotrogradzie</i>	34
<i>Wojsko Polskie</i>	37
<i>Losy Białorusi</i>	42

Część III

NIE ZABIJAJ

<i>Dekalog i Tolstoj</i>	49
<i>Nasz falanster w Piotrogradzie</i>	57
<i>Heluta Wędziągolska</i>	63
<i>Wujostwo Meyendorff</i>	64
<i>List Antka. Ciemne oblicze</i>	66
<i>Wyspy Balaamskie</i>	68
<i>Komisja Likwidacyjna</i>	69
<i>Załamanie Antka</i>	69
<i>Mord Jekaterynburski</i>	70
<i>Pomiędzy frontami</i>	72
<i>Epizod w Łazarewiczach</i>	73
<i>Rozbrojenie Korpusu</i>	75

Część IV

POLSKA POWSTAJE

<i>Powrót do Kraju. Warszawa</i>	81
<i>Pożegnanie Domu</i>	87
<i>Misja petersburska mego brata</i>	88
<i>Mereżkowscy. Złota legenda</i>	100
<i>Schronisko na Krochmalnej</i>	106
<i>Maryna Falska</i>	109

Część V

NIEPODLEGŁOŚĆ

<i>Rok 1919. Wojna Polska</i>	117
<i>Rok 1920. Wyprawa Kijowska. Mereżkowscy</i> ..	122
<i>Wyprawa Kijowska</i>	126
<i>Ranienie Stasia</i>	130
<i>Cud nad Wisłą</i>	134
<i>Na plebanii w Wyszku</i>	135
<i>Traktat Ryski</i>	138
EPILOG	145

Bibliografia prac Marii Czapskiej	153
---	-----



ACHEVE D'IMPRIMER
LE 12 AVRIL 1978
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)
Dépôt légal : 2^e trim. 1978
Imprimé en France.

Odkwaszone

20-11-2008

Just. litt.
Paris, 7. V. 80

